DJAKONAT WARSZAWSKI

„TABITA"

Obraz życia i pracy w r. 1925/6.

Warszawa, w sierpniu 1926 r. **Nr. 2.**

OD WYDAWNICTWA.

Pragnąc zaznajomić szerokie sfery naszego Kościoła z życiem i pracą Djakonatu Warszawskiego i zarazem wzbudzić zrozumienie dla piękności i znaczenia powołania djakonisy wydajemy naszą jednodniówkę — sprawozdanie № 2, informującą o stanie naszej organizacji i panującym w niej duchu. Sprawozdanie niniejsze rozsyłamy do wszystkich zborów w celu bezpłatnego rozdania po nabożeństwie. P.W. i Wielebnych Księży prosimy o przychylne wzmianki w kazaniu i serdeczną zachętę do zasilania szeregów djakonis. Za ewentualne ofiary, czy to osobiste, czy zbiorowe w Kościele, zarządzone przez P.W. Księży i Szanowne Kol. Kośc., na pokrycie kosztów wydawnictwa, składamy zgóry serdeczne „Bóg zapłać".

Kierownictwo Djakonatu Warszawskiego.

Pozdrowienie i prośba Tabity Warszawskiej.

Zrządzeniem Opatrzności djakonat warszawski, który przyjął nazwę „Tabita", przestał być wyłącznie instytucją stołecznego zboru, a zamienił się w szybkim tempie w placówkę ogólnokościelną, związaną jedynie tradycją i pierwszą miłością ze swym zborem macierzystym. Garną się dziś w jego szeregi córy naszego Kościoła ze wszystkich zborów zarówno b. Kongresówki, jak i Śląska oraz Kresów. Aczkolwiek organizacyjnie i materjalnie jesteśmy i pozostaniemy związani ze zborem Warszawskim, ale miłością i pracą pragniemy ogarnąć wszystkie niwy kościelne, służyć wszędzie, gdzie praca nasza będzie pożądana i błogosławiona. Sądzimy, że w ten sposób nietylko przysłużymy się Panu i jego świętej sprawie, lecz spłacimy zarazem dług wdzięczności wobec stołecznego zboru za doznawane wielkie moralne i materjalne poparcie, czyniąc pracą i służbą naszą Zbór stołeczny prawdziwie Matką wszystkich zborów prowincjonalnych. Liczne, wciąż rosnące rzesze kandydatek składając przy ołtarzu stołecznego Zboru swoje ślubowanie i idąc następnie na służbę Niebieskiego Króla „we wszystek świat", ofiarą i miłością połączą poszczególne zbory węzłem trwalszem, aniżeli to mogą uczynić ustawy i przepisy ludzkie.



Przełożona djakonatu Warszawskiego s. Józefa Borsch.

Dlatego też poczuwamy się do obowiązku, a raczej czujemy serdeczną potrzebę podzielenia się naszemi troskami i radościami, złożenia świadectwa o doznanym od Pana błogosławieństwie nietylko wobec naszych przyjaciół warszawskich w ramach parafjalnego sprawozdania rocznego, lecz wobec sióstr i braci w Panu ze wszystkich zborów naszego Kościoła i wsszystkich stron kraju. Im wszystkim ślemy i w tym roku za przykładem ubiegłego, i da Bóg czynić to będziemy rok rocznie, za pośrednictwem tej jednodniówki serdeczne pozdrowienie w Panu, gorącą podziękę za zaufanie i przychylność, za modły przyczynne i wsparcie materjalne, za te zacne młode serca, za córy i siostry, które naszej pieczy i naszemu wychowaniu powierzone przygotowują się do służby w winnicy Pańskiej. Do was, czcigodni rodzice i drogie rodzeństwo naszych sióstr i kandydatek, biegnie przedewszystkiem myśl nasza. pragniemy, aby to nasze doroczne pisemko zostało przez Was przyjęte jako miły list, donoszący Wam o życiu i pracy, radości i szczęściu waszych cór i sióstr. Żyją one i przemawiają do Was z tych słów naszych, z tych obrazków przypominających Wam ich drogie postacie.

Przez tą serdeczną duchową łączność sprawa, która wszak jest sprawą naszego wspólnego Pana, stanie się i waszą sprawą, a wówczas praca i służba waszych cór i sióstr pod sztandarem Chrystusa będzie tembardziej poparta i uświęcona waszemi gorącemi westchnieniami i modłami.

Tę samą prośbę o duchową współpracę wypowiadamy do wszystkich przyjaciół naszego djakonatu, do wszystkich ludzi dobrej woli. Tyle jeszcze niezrozumienia, a nawet obojętności i niechęci istnieje w naszych zborach dla świętej sprawy djakonji, że każdy rozumiejący doniosłość tej pracy musi przy każdej sposobności słowem i przykładem torować jej ścieżki

i drogi. A wśród naszych cór ewangelickich — ileż to marnuje czas i siły na pustej zabawie, na demoralizującej bezczynności, choć wielkie żniwo Pańskie czeka na robotnice. A inne znów noszą utajaną tęsknotą, bolesny niepokój w sercu w poszukiwaniu ołtarza, na którem mogłyby złożyć ofiarę, szukają celu, pracy, które mogłyby wypełnić im życie, a brak często światłej, dobrej duszy, która słowem wyjaśnienia, napomnienia i zachęty wskazałaby im drogę do radosnej, błogosławionej pracy w djakonacie. Czy każdy wierny chrześcijanin nie powinien czuć się szczęśliwym, gdy może takiemu szukającemu sercu oddać tę zacną przysługę? Ufamy, że i w tym roku przez to nasze pozdrowienie wysłane w świat od Tabity Warszawskiej przybędą do nielicznego dotąd grona wiernych współpracowników naszych wśród księży, nauczycieli oraz szczerze oddanych Panu serc nowe liczne szeregi przyjaciół—a przez ich zacną pomoc—nowe liczne kandydatki pod sztandar Tabity.

Oby Wszechmocny wysłuchał tych próśb naszych i błogosławił waszej, drogie siostry i zacni bracia w Chrystusie, i naszej pracy dla wspólnej sprawy, dla wspólnego Pana — dla Chrystusa i Jego Królestwa na ziemi. Zdarz to, Panie. Amen.

Ks. Mieczysław Rüger, — Siostra Józefa Borsch, — Ks. Zygmunt Michelis.

MIŁOŚĆ, KTÓRA ZMARŁA ZA MNIE.

(Muz. W. A. Mozarta).

Miłość, która zmarła za mnie,
Miłość, która świętą krzyża krwią
Wyjednała niebo dla mnie, —
Ach, jak mam wysławiać ją?
Jakiej dzięki żar umili
Miłowania męki te?
Gdy w ostatniej życia chwili
Słodki sen utuli mnie?

Miłość, która tak cierpiała,
Miłość, która moich grzechów noc
W grobie śmierci pokonała, —
Ach, czem jej uwielbię moc?
O, Miłości! bój twój święty
Skruszył do cna serce me,
Przeto błagam, bólem zdjęty:
Przyjmij je na łono swe!

Przełożył *A. Kaszubski.*

Rok błogosławieństwa Bożego.

Opis życia i pracy Tabity Warszawskiej w roku 1925/6.

Kamieniem węgielnym pod nowe zręby odrodzonego pod hasłem „Tabity", (Dz. Ap. 9, 36—43) djakonatu Warszawskiego była owa grupka kandydatek z pośród „Społeczności Chrześcijańskiej w Warszawie", która po wielu latach zasuchy niby strumień orzeźwiła niwy djakonackie. Ale kamień węgielny, aczkolwiek najważniejszy i niezbędny w budowie, nie doprowadziłby do celu i mógłby stać się łatwo daremną ofiara, gdyby brakło dalszych kamieni, trwałych i zacnych, do wykończenia fundamentu, a następnie całego gmachu.

To też główną troską, a raczej modlitwą naszą była prośba do Pana, aby zachował i utrwalił nam ten pierwszy kamień węgielny, ale aby dał nam też nowe odpowiednie służebnice do swojej winnicy.

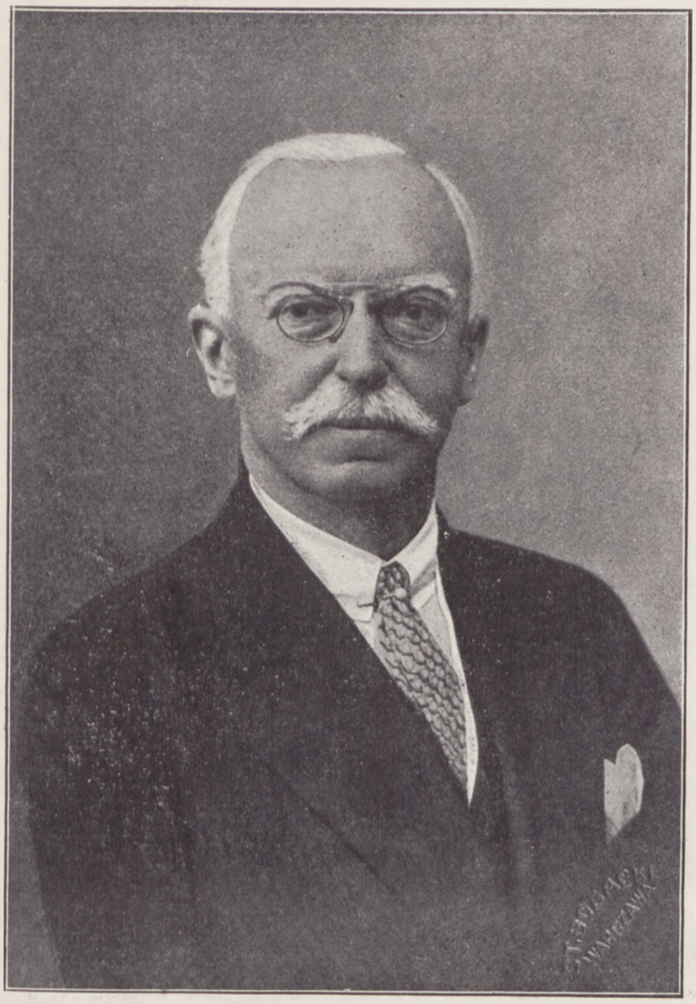
Rok ubiegły przyniósł nam odpowiedź Bożą, wypełnienie obydwuch naszych próśb. Pierwsze nasze kandydatki, dziś już „stare", bo z pośród młodego pokolenia najstarsze, choć wiekiem wszystkie jeszcze b. młode, niezawsze nawet pełnoletnie siostry nasze okazały się istotnie trwałym kamieniem węgielnym. Duchowe przygotowanie, które już przed wstąpieniem do djakonatu otrzymały w Społeczności, górne i święte chwile, przeżyte w gronie wierzących rozpaliły w ich sercach płomień miłości i wiary, którego ani ludzie, ani pokusy świata nie zdołały zagasić. W okresie rocznego nowicjatu uświadomiły sobie swoje wyjątkowo ciężkie, ale i zarazem wyjątkowo piękne zadanie torowania łożyska dla strumieni nowego życia w organiźmie djakonatu. W pracy i w modlitwie zżyły się z djakonatem i zżyły się ze sobą. Z małemi wyjątkami te pierwsze nasze kandydatki zajmują dziś czołowe, odpowiedzialne stanowiska i wśród licznej rzeszy młodego pokolenia są kwiatem djakonatu, wzorem wiary i miłości, pokory i posłuszeństwa. Pracując na różnych oddziałach stanowią jednak zwartą falangę, która świadomie i wiernie pilnuje sztandaru Tabity. Ale jest to łączność niewidzialna, subtelna, duchowa. Nazewnątrz one się nie wyróżniają, ani nie oddzielają, rozumiejąc, że mają być spójnią wszystkich młodych sióstr i nowych kandydatek. W tej organizacyjnej pracy serdecznie dopomagają im swoim doświadczeniem i autorytetem zacne nasze starsze djakonise, które prawie wszystkie po pewnem wyczekującem wahaniu z radością przyjęły nowe zasady pracy i życia, jakie zapanowały w warszawskiej „Tabicie". Niechże tym naszym drogim Tabitankom, starszym i młodym, Pan i nadal dopomaga w ich świętych wysiłkach mocą Ducha Swego Świętego.

Ale i druga nasza prośba o dalsze zacne dusze dla Tabity została wysłuchana. Po zamknięciu na wiosnę pierwszego kursu kadydatek nastąpiła w czasie letnich wakacji chwila zastoju w pracy. Gdyśmy jednak w sierpniu wydali naszą pierwszą ilustrowaną jednodniówkę i w trzech tysiącach egzemplarzy rozrzucili ją po wszystkich zborach, rychło okazała się celowość i skuteczność takiego prostego, szczerego słowa wyjaśnienia i zachęty. W rezultacie mogliśmy rozpocząć w październiku nowy kurs nowicjatu, tym razem już dwuletni, z siedmioma nowemi kandydatkami, których liczba wzrosła w ciągu roku do piętnastu. Na specjalne podkreślenie zasługuje pomoc młodego proboszcza Suwalskiego Wielebnego ks. pastora Borkenhagena, który sam jeden przysłał nam ze swojej parafji 6 kandydatek, częściowo dobre i kochane dusze. To też z wdzięcznością zamieszczamy podobiznę tego wiernego przyjaciela naszej sprawy. Radosną niespodzianką było dla nas zgłoszenie się do djakonatu dwuch rodowitych mazurek i rodzonych sióstr z Działdowskiego. Ich szczere serca mazurskie przy bliższem poznaniu się znalazły ciepłe przyjęcie w różnolitej rzeszy djakonackiej i dziś siostra Amalja i siostra Ela należą do naszych najdzielniejszych i najwierniejszych djakonis. Niechże im Pan i nadal błogosławi w naszym gronie i uczyni błogosławieństwem dla wielu.

Taka liczna, coraz więcej rosnąca owczarnia potrzebuje jednak wiernych i miłujących pasterzy. Kandydatki nasze opuszczały dom rodzicielski, ojca i matkę, rodzeństwo i rodzinę — musiały więc znaleźć tu w dużem mieście nową rodzinę, siostry i rodziców. Było to tem konieczniejsze, że nowicjat trwa obecnie dwa lata, a regulamin orzeka, że kandydatka przed obłuczynami na siostrę próbną nie otrzymuje domowego urlopu. Wobec wyjazdu dotychczasowej tymczasowej przełożonej z powrotem zagranicę do jej macierzystego domu, djakonat zostawał bez Matki.

Zarząd djakonatu zdecydował się z powodu trudności personalnych i organizacyjnych na prowizoryczne zała-

twienie sprawy: Stanowisko przełożonej djakonatu pozostawało nieobsadzonem, na siostrę starszą w szpitalu została tytułem próby powołana starsza djakonisa z Cieszyna, a na kierowniczkę kursu nowicjatu p. Józefa Borsch, emerytowana przełożona b. parafjalnej szkoły-



P. Emil Gerlach, b. kurator szpitala, protektor djakonatu.

szwalni. Podobne rozwiązanie sprawy okazało się jednak rychło niecelowem, a nawet wręcz szkodliwem. Różne kierowniczki na stanowisku starszego i młodszego pokolenia sióstr, pochodzące w dodatku z odmiennych stosunków życiowych i różnego środowiska duchowego przy braku jednolitej zwierzchniej dyrektywy wobec wakansu na urzędzie przełożonej musiało doprowadzić do tarć, a w konsekwencji do wewnętrznego rozłamu djakonatu. To też zarząd zdecydował się po kilku miesiącach w porozumieniu się ze wszystkimi zainteresowanymi na radykalną zmianę: kierowniczka nowicjatu p. Józefa Borsch została powołana na stanowisko przełożonej djakonatu przy jednoczesnem pozostawieniu jej kierownictwa nowicjatu oraz przekazaniu także i obowiązków starszej siostry w szpitalu. Zarządzenie to gwarantowało jednolitość kierownictwa, a tem samem ład i porządek w liczącej już niespełna pół setki rzeszy djakonackiej. Rzecz oczywista, że taki olbrzymi wprost nawał pracy rzucony na barki jednej osoby wymagał jaknajczynniejszego współdziałania nawet w sprawach czysto wewnętrznych obydwuch ks. duszpasterzy. Prócz tego z wdzięcznością należy podnieść większą pomoc ze strony kilku pań, które już drugi rok wykładały różne przedmioty na kursie nowicjatu. Wkładały one do swej pracy wiele serca i przez osobisty przyjazny stosunek z kandydatkami skutecznie przyczyniały się do ich ogólnego wychowania. Tym wypróbowanym i zacnym przyjaciółkom djakonatu, a mianowicie: pastorowej Michelisowej, p. Rojkowej, p. Rackmanowej, p. Osińskiej, p. Widiegerównie, p. Suckiertowej za to, że czas i serce poświęciły zacnej sprawie Zarząd i na tem miejscu składa serdeczne „Bóg zapłać". Nie mniej serdeczna podzięka należy się p. sekretarzowi Gollerowi za naukę muzyki, której udziela od początku istnienia szkoły kandydatek.

Wśród pracy i modlitwy, wykładów Słowa Bożego i jego praktycznego stosowania upłynął kandydatkom rok nowicjatu. Szczegóły zajęć i życia w nowicjacie znane są naszym przyjaciołom ze zeszłorocznego naszego sprawozdania. Przypomnimy tylko pokrótce, że przedpołudnie kandydatki poświęcają na praktyczne zajęcia w gospodarstwie, w kuchni, w pralni, przy starcach, przy chorych, przy dzieciach i t. p., po południu odbywają się przez 3—5 godzin wykłady przedmiotów biblijnych i ogólnokształcących, wieczory zaś są wypełnione zebraniami religijnemi bądź w Społeczności, bądź w djakonacie. Ten zwykły tryb życia zostaje urozmaicony częstemi małemi uroczystościami domowemi, (gdyż urodziny każdej kandydatki i siostry bywają uczczone przez urodzinowy podwieczorek przy śpiewie radosnych pieśni z Harfy) oraz kilkoma dorocznemi świętami djakonatu.

A więc rok pracy rozpoczął się wspólną Komunją świętą w Kościele w dzień święta żniw. Uroczysta ta chwila zostaje stosownie przygotowana przez modlitwę i Słowo Boże, a radość dnia utrwalona przez wspólną skromną „ucztę". Okres Bożego Narodzenia przynosi djakonatowi, zwłaszcza kandydatkom dodatkową pracę, ale zarazem też wiele radości i błogosławieństwa. Wieczór wigilijny połączył nowicjat na Żytniej, a szpitalne siostry na Karmelickiej na krótkie wspólne nabożeństwo w sam wieczór wigilijny, odprawione przez obydwuch ks. duszpasterzy. W ich też obecności nastąpił podział nietylko miłych i wzruszających, lecz praktycznych oraz obfitych darów przyczem było oczywiście wiele radosnych okrzyków, ale nie mniej też łez wzruszenia i szczęścia. Następnie siostry i kandydatki zasiadły do stołu wigilijnego, troskliwie i pięknie przygotowanego przez zacną Matkę Przełożoną.

W r. b. okres świąteczny był jeszcze upiększony uroczystością obłuczyn dwuch kandydatek w IV Adwent. Dwie



P. Jan Gessner, kurator szpitala, wierny opiekun djakonatu.

kandydatki — s. Alma z parafji Sobiesękskiej (pod Kaliszem) i s. Ruta - Zuzanna ze Śląska Cieszyńskiego zostały uroczyście przyjęte w poczet djakonis jako siostry próbne. W kaplicy zakładowej Domu Starców, gdzie mieści się tymczasowo nowicjat djakonatu, zebrały się siostry i kandydatki, Koło modlitewne Społeczności. Opieka Domu Starców. Do sali wkroczyli ks. Rüger i ks. Michelis, a za nimi

Matka - Przełożona wprowadziła obydwie adeptki. Ks. Michelis przemówił z przed pięknie ubranego zielenią i kwieciem ołtarza do obydwuch adeptek i do zebranych, poczem polecił ich w modlitwie łasce Bożej. Pieśnią z Harfy „Mv wszystko Tobie dziś oddajemy" (Nr. 180) obydwie młode siostry złożyły swoje wstępne ślubowanie. Po nabożeństwie siostry wraz z księżmi i ich najbliższymi współpracownikami na niwie djakonackiej spędziły jeszcze dłuższą miłą chwilę przy skromnym posiłku. Niechaj Bóg Wszechmocny dopomoże obydwum młodym siostrom, aby wytrwały w swoim ślubowaniu ku chwale Pańskiej i dla własnego szczęścia.

Początek Nowego Roku przyniósł ze sobą dla djakonatu piękny dar, podniosłą i niezapomnianą uroczystość. Oddawna już w szpitalu dawał się dotkliwie odczuwać brak odpowiedniego i dostatecznego pomieszczenia dla sióstr, pracujących w szpitalu. Ostatnio zaś, gdy sióstr w szpitalu było coraz więcej, gdy djakonat objął także kierownictwo i nadzór w kuchni i w gospodarstwie dotychczasowy lokal stawał się nieznośnie szczupły. Zarząd szpitala podzielając w zupełności to przekonanie postanowił mimo ciężkie czasy i brak funduszów przystąpić do budowy nawego specjalnego piętra dla djakonatu. Dzięki zabiegom i trudom p. kuratora Gessnera i wice-kuratora p. Jeutego znacznej pożyczce z Banku Eweagelickiego, a potem uzyskaniu subsydjum od Magistratu, nowe piętro było na jesieni 1925 r. pod dachem, dnia 6 stycznia nastąpiło uroczyste poświęcenie powiększonej siedziby sióstr szpitalnych. W refrektarzu, utworzonym z dwuch połączonych pokoi na starym piętrze siostry zbudowały i pięknie ustroiły prowizoryczny ołtarz i zamieniły salę jadalną na przestronną kaplicę. Cały djakonat, zarząd szpitala, przedstawiciele Kolegjum Kocielnego i Komitetu Pań Opiekunek, wierny przyjaciel djakonatu poprzedni kurator p. Emil Gerlach, delegat magistratu i ciało lekarskie — oto grono, które w skupieniu słuchało słów przemówienia i aktu poświęcenia, dopełnionego przez NPW. ks. biskupa Burschego. Chór sióstr wykonał przed i po uroczystości stosowne pienia religijne. Po nabożeństwie p. kurator Gessner podejmował obecnych skromnem śniadaniem. Wygłoszono przy tem szereg stosownych przemówień, a siostry odśpiewały wiązankę radosnych pieśni z Harfy. Uroczystość ta, podniosła i radosna, była dla sióstr zachętą i bodźcem do dalszej ofiarnej pracy pod sztandarem swego Pana i Zbawcy.



S .Marja Szmidt.

Nowa siedziba, prócz powiększonej sali jadalnej, przysporzyła djakonatowi siedem dwuosobowych pokoików szpitalnych i jedną salkę, przeznaczoną na czytelnię i salę wykładową. Całość przedstawia schludny i sympatyczny obraz Niechaj nam i na tem miejscu wolno będzie serdecznie podziękować Zarządowi szpitala z p. kuratorem Gessnerem i p. wice-kuratorem Jeutem na czele za ten piękny, wspaniały dowód zrozumienia i uznania dla pracy djakonis w szpitalu.



S. Marja Govenlock.

Okres Wielkanocny był znów związany z szeregiem nietylko pięknych, lecz i niezmiernie ważnych uroczystości. Wielki Tydzień jest co rok dla naszych sióstr *wielkim*, to zn. tygodniem skupienia i ciszy, pobożnego rozmyślania i gorliwych modłów. Najważniejszymi są dwa ostatnie dni tygodnia, gdy wszystkie siostry wraz z swoimi duszpasterzami w dwuch partjach przystępują w kościele podczas specjalnych porannych spowiedzi w Wielki Piątek i Wielką sobotę do Stołu Pańskiego. Jest to błogosławiony zaiste czas, gdy pod Krzyżem sumienie ze zdwojoną wrażliwością odczuwa swoje grzechy i winy, a siostry starają się usunąć i naprawić w swoim współżyciu wszelkie winy i braki Najważniejszym jednak dniem ubiegłego roku była niewątpliwie Przewodnia niedziela, w tym bowiem dniu nasz od wielu lat właściwie osierocony djakonat, bo kierowany tylko przez zastępcze, czy tymczasowe przełożone, otrzymał niespodziewanie, jakby przez cud Boży własną Matkę. Od roku 1917 pełniła funkcję przełożonej Warszawskiego djakonatu s. Meri Tosio, wydelegowana na prośbę zarządu przez djakonat górnośląski w Miechowicach w charakterze kierowniczki - instruktorki do Warszawy w celu zreorganizowania tutejszego djakonatu. Siostra Meri włożyła w nasz djakonat wiele serca i pracy, ale odmienne i specjalnie trudne powojenne warunki nie pozwoliły jej dopiąć upragnionego celu. Dopomogła nam jeszcze w wychowaniu pierwszego zastępu tabitanek i po roku pracy w nowych warunkach, jakie nastąpiły dla djakonatu z chwilą jego zbli-

żenia się ze Społecznością powróciła do swego domu macierzystego „Friedenshort" w Miechowicach. Niech jej Bóg wynagrodzi te dobre chęci i szczere wysiłki, z jakiemi przez 8 lat służyła djakonatowi Warszawskiemu. Krótka praca powołanej na jej miejsce do szpitala s. Marji Lazarówny z Cieszyna jeszcze więcej przekonała nas o tem, że jest rzeczą niemożliwą, aby djakonisa wychowana w odmiennych stosunkach życiowych i w innem środowisku duchowem mogła z pożytkiem kierować wychowaniem i życiem innego djakonatu, mającego swoją własną tradycję i własną duszę. Zrozumieliśmy, że musimy sobie z pośród naszych własnych młodszych sióstr, przejętych bezwzględnem przywiązaniem do swojej instytucji, jej tradycji i kierowników, wychować przyszłą przełożoną. Tymczasem jednak nasze najstarsze siostry już nie podołałyby związanej z tym stanowiskiem wielkiej pracy, a nasze liczne młode siostry były jeszcze



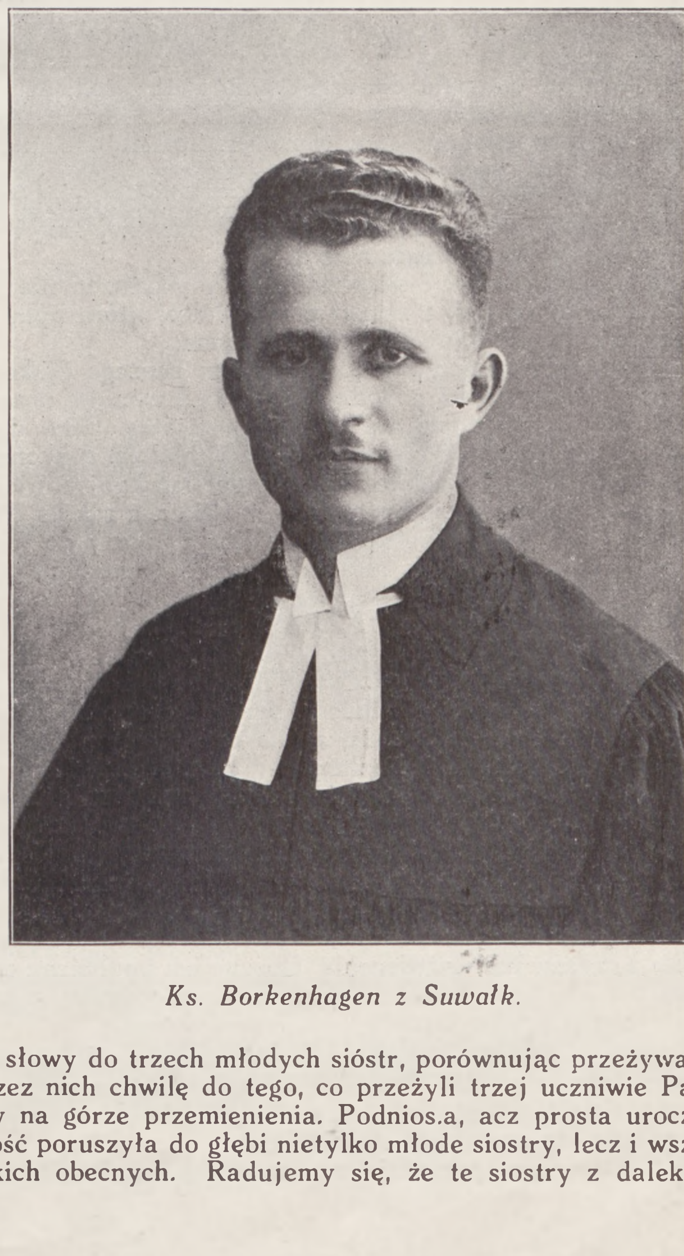
Szpital ewangelicki.

zbyt młode wiekiem i doświadczeniem, aby im można było powierzyć rządy. Z drugiej jednak strony liczną, z każdym miesiącem rosnąca rodzina djakonacka nie mogła zostać bez Matki. Była to w obecnym stadjum organizacyjnem nieomal kwestja życia i śmierci. I oto stało się, jakby nam nagle łuski spadły z oczów: w p. Józefie Borsch, naszej świeckiej kierowniczce szkoły kandydatek Bóg zsyła nam Matkę dla naszego djakonatu. Krew z krwi, kość z kości naszej, dziecko zboru Warszawskiego, miłująca Kościół i Zbór swój szczerze i gorąco, szanowana i miłowana członkini Społeczności, dla wieloletniej swej pracy w zborze przez wszystkich znana i ceniona — posiadała wszelkie kwalifikacje na to stanowisko. Wprawdzie p. Borsch zajmowała stanowisko, z którym się zżyła przez 35 lat pracy, z którego jej żadną miarą nie chciano zwolnić, wprawdzie była osobą świecką, wprawdzie należało się liczyć z trudnościami organizacyjnemi przy wprowadzeniu osoby z poza djakonatu natychmiast na stanowisko przełożonej. Ale czyż p. Borsch nie była już porzuciła swego stanowiska dla skromnej tylko placówki przy naszych kandydatkach, czyż nie była przez całe życie wprawdzie nie ze stroju i miana, ale z ducha i życia djakonisą - służebnicą Pańską. Chodziło o sprawę Bożą, mniemaliśmy odczuwać wyraźną wskazówkę Bożą, przeto byliśmy jej posłuszni i spodziewaliśmy się też posłuszeństwa od powołanej, a żądaliśmy posłuszeństwa od sióstr. „Niema nic niemożliwego wierzącemu", powiada Zbawiciel. Po kilku tygodniach, gdy dojrzała w nas owa decyzja, Józefa Borsch otoczona rojem rozradowanych młodych sióstr i kandydatek, w asyście starszych i z błogosławieństwem najstarszych sióstr, które po krótkiem czasie odwzajemniły się jej sercem za serce stanęła w niedzielę po Wielkiej Nocy przed ołtarzem kościelnem, aby przyjąć z rąk trzech duszpasterzy parafjalnych święcenia na djakonisę, a zarazem Matkę - Przełożoną Tabity Warszawskiej. Było to święto djakonatu, który otrzymywał po długich latach sieroctwa Matkę, święto Społeczności, która radowała się z szczytnego powołania jednej z pierwszych członkiń swoich, święto zboru całego, który poraz pierwszy obchodził podobną uroczystość. Kościół był przepełniony, ołtarz odświętnie ubrany, a djakonat w pełnym składzie z obydwoma duszpasterzami zasiadł w pierwszych ławkach. Ks. djakon Rüger dokonał w asyście ks. Lotha i ks. Michelisa aktu wyświęcenia, przy czem także i obaj asystenci w serdecznych słowach życzyli wyświęconej błogosławieństwa Bożego.

Przy słowach wyświęcenia ks. Rüger nałożył Przełożonej jako godło jej urzędu duży złoty krzyż na takimże łańcuchu — wspaniały dar Modlitewnego Koła Pań przy Społeczności, która w ten sposób pragnęła dać wyraz swej przychylności dla djakonatu, oraz swej radości z powodu powołania na tak szczytne stanowisko członkini Społeczności. Drogim i zacnym siostrom w Chrystusie za ten piękny i cenny dar i na tem miejscu serdecznie dziękujemy.

Wspólna fotografja, a potem wspólny obiad w gronie rodziny djakonackiej zakończyły ten pamiętny i doniosły w dziejach djakonatu dzień. Najbliższe już tygodnie, ład i radość w djakonacie, przywiązanie młodych i serdeczna przychylność starszych sióstr potwierdziły nam, że wybór ten był prawdziwie natchniony przez Boga samego. Niechże miłościwy i wierny Bóg zachowa nam na długie lata naszą czcigodną i dogą Matkę - Przełożoną i uczyni ją błogosławieństwem dla wielu.

Zielone Świątki są już tradycyjnie połączone z djakonatem: zamykają one rok szkolny nowicjatu i są dniem obłuczyn dla sióstr próbnych, a wyświęcenia dla sióstr pełnych. Aczkolwiek obie te uroczystości zdarzają się sporadycznie i w innym czasie, ale święto Zesłania Ducha Świętego coraz więcej staje się w naszym djakonacie tym tradycyjnem dniem obłuczyn. Tym razem mieliśmy podwójną uroczystość. W pierwszy dzień Świąt odbyło się uroczyste nadanie godności i stroju sióstr próbnych trzem kandydatkom z dwuch przeciwległych kresów wielkiej Ojczyzny naszej: Marji Kaletównie z Cieszyna i siostrom Amelji i Eli Waleschównom z Działdowskiego. Uroczystość odbyła się, jak zwykle, w kaplicy zakładowej w godzinach popołudniowych. Ks. djakon Rüger przemówił serdecznemi słowy do trzech młodych sióstr, porównując przeżywaną przez nich chwilę do tego, co przeżyli trzej uczniwie Pańscy na górze przemienienia. Podniosła, acz prosta uroczystość poruszyła do głębi nietylko młode siostry, lecz i wszystkich obecnych. Radujemy się, że te siostry z dalekich



Ks. Borkenhagen z Suwałk.

stron znalazły wśród nas drugi dom rodzinny i ufamy, że miłość, która je łączy z całym naszym djakonatem przetrwa wszelkie próby ku chwale naszego Pana i pożytku dla Jego świętej sprawy. Drugi dzień Świąt przyniósł djakonatowi drugą radosną uroczystość — wyświęcenie dwuch sióstr próbnych. s. Irmy Borchert i s. Heleny Schmidt, na pełne djakonise. W czasie głównego nabożeństwa po liturgji odbył się akt wyświęcenia, którego dokonał po wstępnem przemówieniu ks. Michelisa kierownik djakonatu ks. Rüger. Był to nowy po kilkuletniej przerwie przyrost rodziny djakonackiej. Niechaj Wszechmocny na te śluby dwuch nowych służebnic rzeknie swoje święte — Amen.

Obok tego przyrostu mamy do zanotowania także pewien ubytek: s. Aniela Bałonówna, która przybyła przed kilku laty na praktykę do naszego szpitala powróciła na Śląsk po stronie czeskiej; zaś s. Zofja Paszówna, również ze Śląska, na własną prośbę została zwolniona z djakonatu. Obydwie były siostrami próbnemi.

Pozatem trzy kandydatki zostały w końcu roku zwolnione z powodu braku kwalifikacji duchowych, a s. Marta Kaletówna z Cieszyna i kandydatka Amalja Friedrichówna z Sobiesęk otrzymały roczny domowy urlop dla poratowania zdrowia.

Na specjalną wzmiankę zasługuje jeszcze niepozorna, ale wielce budująca okoliczność cichego jubileuszu dwuch naszych najstarszych sióstr, które w najcięższych czasach i okolicznościach trwały na stanowisku w szpitalu i były tym ośrodkiem pracy siostrzanej, wokoło którego gromadziły się stale, czy przejściowo inne nieliczne młodsze siły. *Siostra Marja* Govenlock obchodziła w skromny cichy sposób 25-lecie swojej służby pod sztandarem Chrystusa. Mając lat 24 została 1 stycznia 1901 roku przyjęta do djakonatu z zastrzeżeniem, że po otrzymaniu stosownego przygotowania poświęci się pracy w zborze ew.-ref., do którego z wyznania należała. Po wyświęceniu na djakonisę przez ówczesnego ks. djakona Lotha 1 czerwca 1902 r. siostra Marja opuściła szpital, aby wziąć pod swą opiekę sieroty zboru ew.-ref. Po trzech i pół roku pracy w domu sierot wróciła do szpitala, który wtedy bardzo potrzebował pomocy. Prawie przez cały czas swego pobytu w szpitalu s. Marja pracowała na oddziale chirurgicznym. Przed rokiem, gdy świeże siły napłynęły do pracy szpitalnej s. Marja objęła trudne i odpowiedzialne stanowisko przełożonej Domu Sierot, dokąd już oddawna została na usilną prośbę Opieki Domu Sierot przeznaczona przez zarząd djakonatu.

Życzymy Czcigodnej Jubilatce, aby łaskawy Bóg i nadal obficie jej błogosławić raczył.

Nie można mówić o siostrze Marji, aby zarazem nie mówić też o jej wiernej i zacnej przyjaciółce, która była jej w pracy i poświęceniu świetlanym wzorem.

Siostra Berta Schmidt jest nestorką naszego djakonatu. która swoją wielką pogodą i słodyczą przyciąga, aczkolwiek już emerytka, starsze i młodsze siostry. Jako dwudziestoletnia dziewica wstąpiła w 1883 roku do djakonatu. Z powodu choroby musiała na rok przerwać swój nowicjat, aby potem znów wrócić i otrzymać w 1886 r. z rąk ks. Barcza święcenia na djakonisę. Siostra Berta należy do weteranek naszego względnie młodego jeszcze djakonatu, gdyż przy swoim przybyciu do szpitala zastała tam dopiero dwie djakonise, a mianowicie: s. Antoninę Szmidt i s. Julję Will. W roku 1904 s. Berta przeszła do nowozałożonej „Ochrony Kobiet“, skąd po niespełna dwuch latach została powołana z powrotem do szpitala, gdzie pracowała mimo sędziwego wieku i wątłego już zdrowia, aż do ostatnich czasów. Razem z siostrą Marją przeszła przed rokiem, po zgórą 40-letniej pracy błogosławionej, jako emerytka, do domu sierot, aby tam przy boku swej wiernej przyjaciółki zażywać zasłużonego spoczynku. Chętnie ją tam odwiedza młodsza generacja, aby z jej ust czerpać żywą historję naszego djakonatu i krzepić się pogodą i słodyczą Czcigodnej nestorki naszego djakonatu. Zamieszczamy podobizny obydwuch sióstr z czasów ich wyświęcenia. Obecne ich podobizny czytelnikom nie trudno będzie rozpoznać na ogólnej grupie djakonatu w gronie licznego młodego pokolenia.

Zielone Świątki zamykają w djakonacie rok pracy i uroczystości. Po nich następują rychło letnie wywczasy i urlopy dla sióstr i kandydatek, a dla zarządu okres przygotowywania do nowego kursu nowicjatu.

Siostry nasze posiadają własną niewielką siedzibę letnią w Płatkownicy nad Bugiem — dar p. Janowej Wernerowej.

Po domowem urlopie większość sióstr spędza czas wypoczynkowy w Płatkownicy, aczkolwiek każda starsza siostra otrzymuje bez trudności pozwolenie na spędzenie całego miesiąca urlopu u rodziny. Kandydatki natomiast nie otrzymują wcale domowego urlopu i spędzają całe lato, o ile nie muszą zastępować w pracy starszych sióstr, w letnisku djakonatu. Letnisko dla dzisiejszego djakonatu w Płatkownicy jest zupełnie niewystarczającem. Już w ubiegłym roku musieliśmy wynająć cały dodatkowy dom dla pomieszczenia kandydatek. W tym roku i to nie wystarczałoby. Dzięki jednak szczęśliwej okoliczności, że ks. Michelis administrował Pilicką parafję, djakonat mógł urządzić w uroczo na urwistem brzegu Pilicy położonej obszernej plebanji Pilickiej dodatkowe letnisko dla djakonatu. Kolegjum w Pilicy, parafjanom w Warce i w Gąskach, a także p. kantorowi Schmidtowi w Górze Kalwarji dziękujemy serdecznie za życzliwe przyjęcie i uczynną pomoc.

Obok opisanych zewnętrznych wydarzeń i zmian w djakonacie rok sprawozdawczy posunął nas znaczny krok naprzód, także i we wewnętrznej pracy organizacyjnej. Dotąd djakonat warszawski nie posiadał właściwie dokładnych statutów i regulaminów. Niewielka zawsze ilość sióstr, pracujących przy tem przeważnie w szpitalu, nie dawała braku tych form zbyt dotkliwie odczuwać. Każda instytucja, która korzystała z pracy sióstr, zaspakajała też wszelkie ich potrzeby. W praktyce to jednak, nawet i dawniej narażało siostry na przykrości lub braki. Siostry krępowały się, zwłaszcza w ciężkich latach wojennych i powojennych, występować o swoje potrzeby, a opieki zaś przez zapomnienie często zaniedbywały swoje obowiązki. Nagły silny wzrost liczby sióstr i założenie szkoły kandydatek uczyniły dotychczasowy stan rzeczy niemożliwym. To też, kierownictwo djakonatu postanowiło stworzyć samodzielną kasę djakonatu. Zasoby tej kasy płyną z trzech źródeł: opłat instytucji za pracę sióstr na podstawie polubownej umowy między zarządem djakonatu a opieką danej instytucji, z zasiłku Kolegjum Kościelnego i z dobrowolnych ofiar przyjaciół djakonatu, w pierwszym rzędzie Społeczności. Z sum tych są pokrywane wszelkie potrzeby djakonatu: kieszonkowe sióstr, umundurowanie, urlopy i t. p. Reforma ta okazała się niezmiernie pożyteczną i praktyczną.

Na życzenie sióstr zaprowadzono też pewną inowację oraz uzupełnienie w umundurowaniu djakonis. Dotychczasowe twardo krochmalone czepki z dużemi kokardami okazały się niewygodne w pracy, a w czasie upałów letnich uciążliwe w noszeniu. Także i grube chustki noszone w zimie były niepraktyczne. Wprowadzono przeto dla pełnych sióstr miękkie batystowe czepki z szerokiemi wyłogami oraz czarne peleryny — dłuższe watowane w zimie, oraz krótkie lekkie na lato. Mundur sióstr próbnych jest identyczny z wyjątkiem czepków — miękkich niedużych, obszytych wąską koronką. Dla kandydatek, które dotąd nie miały żadnego munduru, wprowadzono niebieske sukienki płócienne z pelerynami, proste skromne czepki, oraz czarne lżejsze w lecie i grubsze w zimie chustki.

Pozatem kierownictwo przystąpiła do opracowania projektów nowej ustawy djakonatu, wewnętrznego statutu, regulaminów dla sióstr — zarówno ogólnego, jak i dla szpitala, instrukcji mundurowej, warunków przyjęcia kandydatek i innych koniecznych przepisów. Ufamy, że nam Bóg dopomoże w przyszłym roku zupełnie wykończyć organizacyjne formy rozszerzonego i zreorganizowanego djakonatu Warszawskiego.

Dotychczasowe doświadczenia i powodzenia, zwłaszcza ten rok ostatni, wypełnia nas wszelką radością i wdzięcznością. Gdy patrzymy dziś wstecz na te wielkie trudności, jakie piętrzyły się na naszej drodze w początku roku i na ich cudowne wprost przezwyciężenie, gdy wspominamy na różne przykrości i zawody, które jednak zawsze ostatecznie służyły do pogłębienia naszego poznania dróg Bożych i do ściślejszego zespolenia się w djakonacie wszystkich szczerych i zacnych serc, musimy chwalić i wielbić mądrość i łaskę Bożą. Nie możemy przeto tego ciężkiego, a przecież zarazem tak radosnego roku nazwać inaczej, jak rokiem wielkiego błogosławieństwa Bożego.

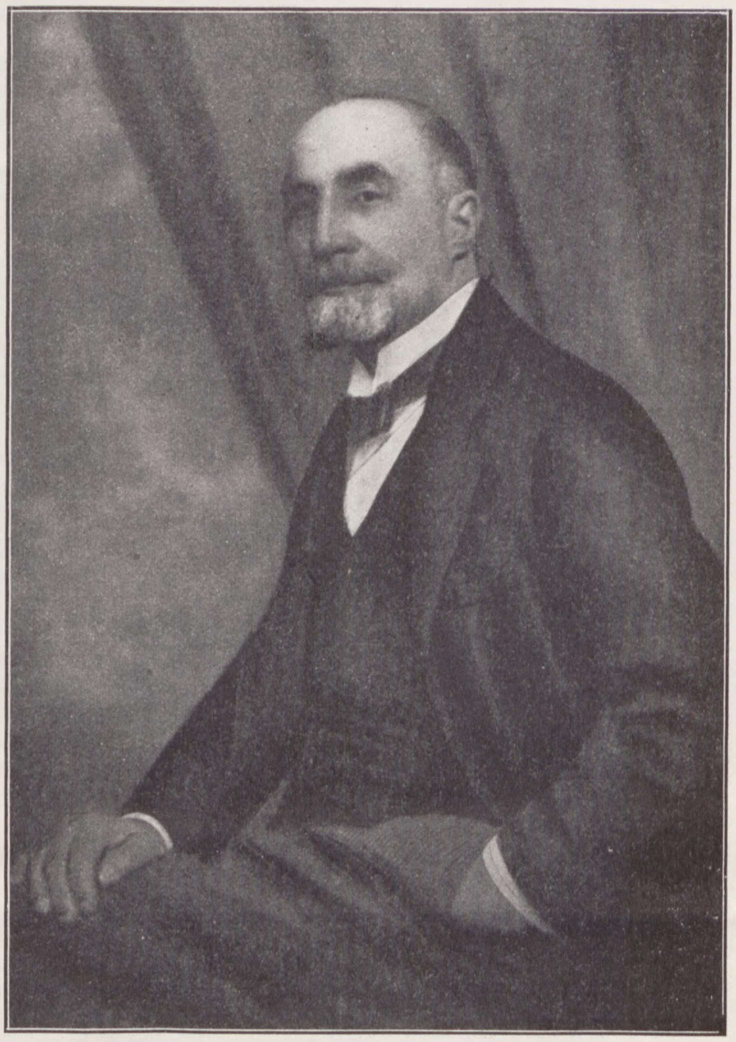
Zato niechaj będzie Bogu cześć i chwała i podzięka.

Ks. Z. M.

BŁOGOSŁAWIONA PRACA.

„A Jezus im odpowiedział: Ojciec mój aż dotąd pracuje, i ja pracuję". (Jan. 5—17).

Nasz Boski Nauczyciel przekreślił starotestamentowe pojęcie o pracy jako karze, zesłanej na ludzi i nadał pracy pierwiastek Boski, jednak ludzie w przeważającej części pracują, nie z zamiłowania pracy i nie z pobudek służenia pracą swoją innym ludziom, lecz z pobudek egoizmu, dla możności zaspokojenia swoich osobistych potrzeb fizycznych. I z tych motywów podjęta praca ludzka, wykonywana uczciwie i starannie, w ostatecznym swym rezultacie i jako ogniwo w ogólnym łańcuchu pracy innych, ułatwia życie ludzkie, przyczynia się do pomyślności i szczęśliwości ogólnej — przybliża Królestwo Boże na ziemi.



P. Józef Evert, prezes Kol. Kośc., prez. zarządu djakonatu.

Reformator Dr. Marcin Luter powiedział, że służebnica, która starannie i pilnie zamiata dom służy lepiej Bogu niż mnich, klepiący pacierze. Powiedział również Luter, że nie zbożne prace i dobre uczynki tworzą dobrego człowieka, lecz dobry i pobożny człowiek tworzy dobre i zbożne uczynki i dzieła. W tych dwóch myślach, zrodzonych z ducha czystej Ewangelji Chrystusowej, odbija się nasz światopogląd ewangelicki. Z tego zaś światopoglądu zrodził się Ewangelicki instytut sióstr djakonis pobożnych ale i pracowitych jednocześnie pracownic w naszych Zborach.

Każda praca wykonywana w dobrych zamiarach i uczciwie, zasługuje na uznanie i szacunek. Praca sióstr djakonis ma źródło inne, a więc i cele odmienne niż prace inne, powszednie. Poczęta z głębokiej wiary, z gorącego umiłowania Boga i Zbawiciela, przez miłość bliźniego wykonywana. Praca siostry djakonisy, pozbawiona motywu egoistycznego, znajduje podnietę w całkowitem oddaniu się Bogu, Bogu służy przez pracę dla bliźniego na wszystkich dostępnych dla niej polach.

Djakonat powstać i rozwijać się może tylko w Zborach, w których pulsuje żywo życie religijne — jest on życia tego dowodem i rezultatem zarazem. Historja Zboru Warszawskiego stwierdza to w zupełności jak również i to, że Zbór winien otoczyć Djakonat serdeczną troskliwością i serdecznem umiłowaniem.

Józef Evert.

Tymczasowe warunki przyjęcia kandydatek do djakonatu.

1. Pożądane są tylko osoby **szczerze wierzące,** czyniące ten krok z pobudek religijnych. Bez tych duchowych kwalifikacji kandydatka nie znajdzie w djakonacie upodobania i rychło bądź z własnej woli, bądź z decyzji zarządu opuści szeregi sióstr.

2. Przyjmowane są **panny i bezdzietne wdowy od lat 18 do 30.** W wyjątkowych wypadkach przy specjalnych duchowych i fachowych kwalifikacjach są przyjmowane i starsze osoby, a przy wyjątkowych warunkach rodzinnych (npr. sieroty) także i poniżej lat 18. Kandydatki niepełnoletnie muszą wylegitymować się ustną, lub pisemną zgodą rodziców, wzgl. opiekunów.

3. Wymagane jest **zupełne zdrowie fizyczne.** Kandydatki muszą przeto do zgłoszenia dołączyć świadectwo lekarskie, lub też stawić się osobiście dla badania lekarskiego w Warszawie u lekarza djakonatu. Dodatkowemu badaniu lekarskiemu są poddawane po przybyciu wszystkie zamiejscowe kandydatki, które zostały przyjęte na zasadzie świadectwa lekarskiego.

4. Kandydatka musi możliwie posiadać i przywieźć z sobą następującą wyprawę: poduszkę i kołdrę z odpowiednią bielizną pościelową na sześć zmian, osobistą bieliznę na 6 zmian, 2 pary butów, 2 czarne chustki—zimową i letnią, walizkę lub koszyk, parasol. W wypadkach zasługujących na uwzględnienie djakonat sam ekwipuje częściowo, lub zupełnie niezamożne kandydatki. W każdym bądź razie **sprawa materjalna nigdy nie będzie przeszkodą** dla wstąpienia do djakonatu, jeżeli kandydatka posiada inne kwalifikacje.

5. Kandydatki zgłaszają się osobiście lub pisemnie. W tym drugim wypadku należy przesłać: krótki własnoręcznie napisany **życiorys, metrykę chrztu, świadectwo lekarskie,** świadectwo miejscowego pastora.

6. Zgłoszenia przyjmuje się przez **cały rok;** najodpowiedniejszą dla kandydatek najkorzystniejszą porą jest **wrzesień i październik,** wtedy bowiem rozpoczyna się normalny kurs w szkole kandydatek, w którym nowicjuszki natychmiast biorą udział.

7. Zgłoszenia należy kierować pod adresem: **Przełożona Józefa Borsch, Warszawa, ul. Karmelicka 10 — Szpital Ewangelicki.**



Djakonat „Tabita" w Warszawie w roku 1925.

KREDYT SIOSTRY JULJI.

Zgadało się o kwestji kobiecej, o wychowawczyniach, pielęgniarkach, djakonisach, siostrach miłosierdzia, i pan Marek, inżynier-kolejarz, opowiedział o pewnej siostrze Julji, djakonisie, która zobowiązała go grubo względem siebie, a potem zniknęła.

— Jako ewangelik — mówił pan Marek — zostałem razem z żoną i dwojgiem dzieci wysiedlony do Rosji wnetże na początku wojny. Zrazu trzeba było wędrować z Łodzi do Warszawy, potem z Warszawy do Pskowa, do Petersburga, a stamtąd w miarę rozwijających się wypadków dostaliśmy się na Ural i daleko za Ural, aż do Irkucka, gdzie znalazłem dość korzystną pracę. Niełatwo było podczas wojny dostać się tak daleko, ale nieskończenie trudniej było dostać się po wojnie z powrotem do kraju. Przewrót społeczny zniszczył to, co jeszcze pozostało po wojnie, a w dodatku wszystkie dotychczasowe stosunki poodwracał tak dalece do góry nogami, że trudno było połapać się w niesłychanym chaosie. Tysiączne formalności nowej biurokracji, nieufność wszsystkich względem wszystkich, brak środków komunikacyjnych, samowola poszczególnych organów nowej władzy... Nie, nie chciałbym przeżyć jeszcze raz takich przyjemności podróżowania! Poprostu powstawało pytanie, czy nie lepiej będzie pojechać dalej na wschód i objechać ziemię dookoła, niż wracać przez tę straszliwą schaotyzowaną Rosję, w której tak trudno było kupić kawałek chleba.

Pan Marek zamyślił się, jakby sobie przypominał szczegóły tych smutnych czasów, a potem mówił dalej:

— Oczywiście, że w podróż dokoła ziemi nie puściliśmy się. Zdawało się, że Tomsk, Tobolsk, Kazań i Moskwa to jakby stacje między Warszawą a Skierniewicami. Aby się dostać jako tako do Uralu, a potem do Kazania i do Moskwy, to będziemy jakby na przedmieściu Warszawy. Tak oto gorące pragnienie i tęsknota poszerzają granice kraju ojczystego. Ruszyliśmy tedy i odstawialiśmy sami siebie jakimś straszliwym i nieopisanym ciupasem do kraju ojczystego. Podróż rozpoczęliśmy w maju, gdy się jako tako ociepliło i wieźliśmy z sobą to i owo, cośmy sobie za ciężko zapracowane pieniądze kupili. Ale... pan Marek uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia — trzeba się było po drodze tak okupywać różnym opiekunom i życzliwym, że kiedy po długich peregrynacjach zbliżaliśmy się wreszcie ku granicy to bez przesady rzec można, że byliśmy proletarjuszami wszystkich krajów.

— Ale to jeszcze nic! — machnął ręką pan Marek.— Mieliśmy na sobie jakie takie ubranie, mieliśmy też trochę pieniędzy. I właśnie, zacni bolszewicy, jakby wiedząc o tem, postanowili trzymać nas u siebie tak długo, aż pozbędziemy się wszystkiego. Musieliśmy wydawać grosz za groszem z tego, co posiadaliśmy, a wreszcie przyszła kolej na to, co jeszcze jaką taką przedstawiało wartość. Jednem słowem wyprzedaliśmy się tak doszczętnie, że gdyby po przebyciu granicy nie byli zaopiekowali się nami dobrzy zacni ludzie z jednej z misji amerykańskich, to doprawdy nie wiem,, jak bylibyśmy sobie poradzili. Podróż z Irkucka do Baranowicz trwała ni mniej ni więcej, tylko do późnej zimy, a ponieważ po drodze i na pograniczu wyprzedaliśmy się ze wszystkiego, co chroni przed chłodem, więc było nam nietylko głodno, ale i chłodno niezgorzej. Najmłodsza córka zachorowała na odrę i musieliśmy czekać na jej wyzdrowienie, zanim można było ruszyć w dalszą drogę.

— Aż dziwno nieraz — roześmiał się pan Mark — że człowiek zniesie tyle kłopotów, gdy trzeba. Ostatecznie, postanowiłem sam pojechać do Warszawy, aby coś niecoś przygotować dla rodziny; żona z dziećmi pozostała przy chorej córce w lokalu amerykańskiej misji, gdzie udzielono nam izby na mieszkanie. Ruszyłem w drogę w takiem paletku podszywanem wiatrem, a ponieważ wagony były wtedy nie ogrzewane...

— Miał nam pan opowiedzieć coś o siostrze Julji, djakonisie — upomniała się jakaś niecierpliwa panienka.

„TABITA" WARSZAWSKA.

Dzieje Apostolskie (rozd. 9, 36—43) opowiadają nam o pewnej dziewicy w Joppie, która „była pełna dobrych uczynków i jałmużny". Imię jej, a raczej przydomek brzmiało „Tabita", co oznacza tyle, co gazela. Nieprawdaż, dziwna to na nasze pojęcia „święta", która zasłużyła sobie na taki przydomek. Wesoła, lekka, szybka, jak gazela. A przytem „uczenica" Chrystusowa, która zyskała sobie taką miłość u ludzi i łaskę u Boga, że imię jej przez cud apostoła Piotra zostało uwiecznione w pamięci Kościoła. Gdy bowiem umarła, cały zbór w Joppie okrył się żałobą tak wielką, że zbór (a nie rodzina, której Tabita widocznie nie posiadała) wysłał poselstwo do sąsiedniego miasta Liddy, aby prosić ap. Piotra o pociechę i ratunek w smutku i nieszczęściu.

Jak sobie Tabita zasłużyła na tę miłość u ludzi i łaskę u Boga, widzimy ze sposobu, w jaki przywitano przybyłego na skutek powyższego poselstwa ap. Piotra.

...I obstąpiły go wszystkie wdowy, płacząc i ukazując suknie i płaszcze, które im Tabita robiła, póki była z nimi".

I oto sługa i apostoł Chrystusowy rzekł: „Tabito, wstań! A ona otworzyła oczy swoje i... usiadła".

„Tabito wstań"! tak wołaliśmy w pokornej modlitwie, gdyśmy przed dwoma laty wraz z naszą Społecznością przystąpili do wspólnej pracy nad odrodzeniem djakonatu Warszawskiego. Rozumieliśmy, że nie agitacją i namową, lecz tylko modlitwą do Boga i błogosławieństwem od Boga można ożywić „Tabitę", służebnicę Pańską. To też nietylko łamy „Zwiastuna", lecz i modły Społeczności oraz narady kierownictwa djakonatu rozbrzmiewały głośnem, gorącem, serdecznem wołaniem. „Tabito, wstań"!

Bóg wysłuchał ongi sługę swego, Bóg wysłuchał i dziś modłów naszych: Tabita wstała, djakonat Warszawski powstał do nowego życia w sile i zapale, jakich może nie było już dawno.

Ale opowieść biblijna o Tabicie i pod innym jeszcze względem była nam wzorem. Imię, czy przydomek onej „uczennicy" Pańskiej z Joppy było nam pouczeniem, jaką powinna być djakonisa. Nie chodzenie na szczudłach napuszonej pobożności, lecz w naturalnej swobodzie według wrodzonego temperamentu, uświęconych duchem wiary i miłości, siostra ma być promieniem radości Chrystusowej. W Słońcu Prawdy Bożej maleją i zanikają przywary charakteru, i rozwijają się a dojrzewają przez Stwórcę dane cnoty i przymioty.

Tamta z Joppy była w swej gorączkowej, chybkiej, rączej, a tak miłej i radosnej usłużliwości Tabitą-Gazelą. Samotna, może sierota, gdyż nie słyszymy nawet przy łożu śmiertelnem ani słówka o jakichkolwiek krewnych znalazła cel piękny w życiu, zachowała pogodę ducha, była radosnem dziecięciem Bożem.

Na takie Tabitanki-Gazele chcemy wychować i ten liczny zastęp naszych młodych sióstr i kandydatek. Niechaj miłość bliźnich w Panu oskrzydla ich ręce, opromienia ich dusze, niechaj radość będzie źródłem i owocem ich pracy.

Zastanawialiśmy się nieraz jaką mamy nadać djakonatowi naszemu nazwę, aby była hasłem i programem w pracy i modlitwie przez Boga darowanem.

Czyż owa opowieść biblijna o Tabicie z Joppy, co taką błogosławioną, proroczą, rzec można, odegrała rolę w początku nowego okresu pracy w djakonacie przez serdeczną łączność ze Społecznością, nie daje nam odpowiedzi, jakoby od Boga na to pytanie nasze?

Niechże to będzie wskazówką od Boga, w Panu umiłowane siostry nasze, ta nazwa dla djakonatu naszego i niechaj przez nią płynie duch pracy radosnej i służby serdecznej na nasz djakonat Warszawski — Warszawską Tabitę i warszawskie Tabitanki.

Daj to, Boże!

Ks. Miecz. Rüger.

— To jest właśnie tło do tej opowieści — tłumaczył się pan Marek. Zresztą mogę się streścić... Do Warszawy przyjechałem rozdygotany, z bólem głowy i łamaniem w kościach. Na szczęście jeszcze w Baranowiczach dobrzy ludzie dali mi adres i list do pewnej wdowy, która miała dla mnie pokój, więc prosto z dworca pojechałem do niej marząc o tem, że w ciepłym pokoju otrzymam szklankę gorącej herbaty i będę mógł położyć się do łóżka. Ale spotkał mnie najboleśniejszy zawód. Mieszkanie należało do ewangelickich uchodźców czy raczej wysiedleńców, którzy mieli lada dzień wrócić, a pilnowała go narazie pewna wdowa, która przez cały dzień pracowała jako nauczycielka, biegająca za lekcjami. Musiałem tedy czekać dość długo zanim się do mieszkania dostałem, i niestety, mój wymarzony ciepły pokój okazał się pokojem dawno nieopalanym, odartym ze swoich najlepszych sprzętów, jak zresztą wszystkie takie mieszkania wysiedleńców. Zacna niewiasta posłała mi jako tako owo łóżko...

— Czy to już o owej siostrze Julji — zapytała zniecierpliwiona panienka.

— Jeszcze nie, ale zaraz będzie i o niej. Powiem krótko, że dostałem bardzo ostrej grypy i marzyła mi się gorąca herbata z sokiem malinowym, której nie miał mi kto podać.

— No a ta wdowa? — nastawała ciekawa słuchaczka.

— Nie miała czasu. Wobec tego, że musiała dawać lekcje i że właściciele mieszkania mieli lada dzień wrócić, a ona musiała szukać sobie mieszkania nowego, wychodziła zrana z domu i wracała dopiero wieczorem. O herbacie dla mnie nie mogła myśleć. Leżałem w nieopalonej izbie jak ten Łazarz. Na szczęście wdowa do mnie zajrzała, a widząc, jak się rzeczy mają obiecała posłać mi kogoś. Było to rano. Około południa przyszła djakonisa, właśnie, siostra Julja. Przestraszyłem się. Gdy była mowa o djakonisach, to zawsze przypominały mi się jakieś smutne zdarzenia, choroby i pogrzeby. Osobliwie przypominała mi się — sam nie wiem dlaczego — moja stara babcia, która każdej niedzieli wieczorem, gdy rodzice wychodzili do sąsiadów, wydobywała z szafki „kancjonalik" oprawny w skórę, podłużny i wąski, drukowany okropną przedpotopową szwabachą i z tego „kancjonaliku" wybierała sobie do śpiewania najsmutniejsze pieśni. Zapamiętałem strofę jednej z tych pieśni o Dawidzie, który Uryjasza zabił, a że się do Ciebie nawrócił, grzechyś mu odpuścił". Wymawiała słowa twardo po ślązacku...

— Ta siostra Julja? Dlaczego pan o niej nic nie mówi? — upominała się niecierpliwie panienka.

— Już teraz mówię o niej. Więc jak mi powiedziano, że przyjdzie djakonisa, to mocno stchórzyłem. Miałem na swoje usprawiedliwienie sporą gorączkę, ból głowy, łamanie w kościach, tem więc straszniej przedstawiała mi się sytuacja z djakonisą. Nie wiem dlaczego, ale byłem przekonany, że przyjdzie do mnie z takim „kancjonalikiem", usiądzie przy łóżku i będzie mi śpiewała pieśni pokutne o Dawidzie, który zabił Urjasza. O herbacie z sokieme malinowym i aspirynie nawet marzyć nie śmiałem.

— Z takiemi myślami podrzemywałem, rzucając się z boku na bok, żeby się jakoś wycyganić okropnemu bólowi głowy. Myślałem akurat, że dobrze byłoby, gdyby ktoś położył mi na czole kompres zimny. I rzeczywiście, jakby na zawołanie poczułem na czole chłód. Otworzyłem oczy: koło mnie siedziała djakonisa.

— „Dzień dobry panu — powiada i śmieje się do mnie takiemi mądremi, czarnemi oczami. — Jestem siostra Julja. — Pan ma trochę gorączki i głowa pewno boli"...

— Nie czekała odpowiedzi, wstała, wyszukała jakiś ręcznik, czy co, umoczyła w wodzie, położyła na czole, powiedziała mi abym sobie cichutko leżał, że zaraz przyjdzie i zmierzy mi temperaturę. Poszła sobie, a ja od chłodnego kompresu oprzytomniałem i zacząłem być zły na siostrę Julję, że mi będzie mierzyła temperaturę, zamiast pomyśleć przecie o tej herbacie. Zadrzemałem i nawet nie wiem, jak długo spałem, ale kiedym się obudził, siostra Julja siedziała koło mnie właśnie z szklanką gorącej herbaty. Nie chciało mi się wierzyć, że to prawda. W pokoju

Niewiasta w służbie Pańskiej.

Jezus a niewiasty! Możnaby całą książkę napisać o tem, co zapoznane i pozbawione wszelkich praw niewiasty, zawdzięczają Jezusowi i Jego ewangelji; a drugą, niemniej piękną, możnaby napisać o tem, jak niewiasty od samego początku ofiarną i wielką miłością odwdzięczyły się swemu Zbawcy i Przyjacielowi. Jeżeli się wśród wrogów Jezusa nie widzi żadnej niewiasty, jeżeli jedynie „córy Jeruzalemskie" przelewają łzy współczucia nad dźwigającym na Golgotę krzyż Niewinnym Skazańcem, jeżeli pod krzyżem prawie same tylko stoją niewiasty, jeżeli niewiasty pierwsze poszły o świcie do grobu Zbawiciela, jeżeli wreszcie i dziś w świątyniach przedewszystkiem niewiasty gromadzą się wokoło Słowa i stołu Pańskiego, to płynie to niewątpliwie stąd, że niewiasty nietylko więcej zawdzięczają Jezusowi, lecz też więcej są zdolne do miłości i poświęceń na wzór ofiary Chrystusowej.

Nie dziw przeto, że od samego początku były niewiasty, które wiele, wszystko poświęciły swemu Zbawicielowi, że zapragnęły życie swoje uczynić ofiarą całopalenia dla Oblubieńca duszy swojej. Dlatego już w czasach apostolskich powstała w zarodku djakonja żeńska, która w kościele ewangelickim znalazła swój najpiękniejszy wyraz. Dziś nie można sobie wprost wyobrazić Kościoła Ewangelickiego z jego praktycznem chrześcijaństwem, z jego sierocińcami, przytułkami, opieką nad ubogimi, szpitalami i schroniskami — bez djakonis.

Zapewne, wszelkie te prace mogą być wypełnione sumiennie także i przez osoby świeckie. Ale, że niewiasta, ożywiona uczuciem miłości Chrystusowej, inaczej je bedzie rozumiała i wykonywała, tego nie potrzeba wcale udawadniać. Dla tamtych jest to w najlepszym razie sumiennie wykonywany zawód, dla tych — święta służba Pańska.

Zapewne! można tę pracę, będąc wierzącą chrześcijanką wypełniać z błogosławieństwem, nie będąc djakonisą. Ale nie mniej pewne, że takie jednomyślne dusze potrzebują i szukają społeczności między sobą, z której czerpią zachętę i moc do coraz radośniejszej służby Pańskiej.

Potwierdzeniem tego służyć nam może historja życiowa obecnej przełożonej naszego djakonatu warszawskiego siostry Józefy Borsch. Cała jej długoletnia praca w zborze warszawskim była biblijną djakonją, gdyż pełniła ją nietylko wiernie i sumiennie, lecz zawsze jako służbę Pańską to zn. zawsze mając na oku ostateczny i najwyższy cel — zbawienie dusz. I tylko dlatego tak się stać mogło stać musiało, że pod wieczór życia włożyła czepek djakonisy i że jako „najmłodsza" z wyświęconych sióstr stanęła jednakże na czele djakonatu serdecznie przyjęta przez ogół sióstr, mających nieraz pokaźną już liczbę lat służby w djakonacie. Więcej rzec można: nietylko djakonat, lecz cały zbór, tak dobrze znający s. Józefę z jej długoletniej zbożnej pracy, radośnie powitał ją na stanowisku tak odpowiadającym intencji całego jej życia.

To też uroczyste wyświecenie s. Józefy przyciągnęło w Przewodnią niedzielę takie rzesze wiernych do kościoła, jakie zazwyczaj gromadzą się tylko z okazji wyjątkowych uroczystości.

Przewodnia niedziela ze swoją rzadką a tak podniosłą i doniosłą uroczystością stanowi niewątpliwie nietylko początek nowej ery w historji djakonatu warszawskiego, lecz także i w stosunku ogółu zboru do sprawy djakonji. Zbór nasz dotąd, nie z własnej winy, nie doceniał wielkiego znaczenia diakonji dla kościoła. Wszystkie instytucie, często nie obsługujace nawet właściwie członków zboru, znajdowały protektorów i hojnych ofiarodawców. Dzieje zboru mówią nam o zapisach, legatach i fundacjach na różne cele z wyjątkiem tylko djakonatu. A przecież tym wszystkim instytucjom brak właściwego słońca, póki one nie mają opieki i obsługi oddanych Panu swemu djakonis. Dziś Bogu dzięki zrozumienie tego rośnie z każdym

---

było cieplej i przyjemniej. Siostra Julja sprowadziła trochę drzewa i węgla i napaliła, podczas gdy ja spałem. Upomniałem się o aspirynę. Odpowiedziała, że mi jej sama nie da, ale zaraz przyjdzie doktór. Przestraszyłem się, bo nie miałem pieniędzy. Powiedziałem jej o tem. Roześmiała się temi wesołemi i mądremi oczami, i rzekła tylko:

— „Ale ja mam. Skredytuję panu, bo jakoś mam do pana zaufanie".

Przyszedł doktór, opukał, osłuchał, zapisał proszki i krople, kazał pić Emską wodę z mlekiem. I znowuż siostra Julja skredytowała, bo za godzinę miałem wszystko, co było potrzebne do wyzdrowienia. Prócz tego jakoś chytrze zawinęła mnie w kocyk, spociłem się jak mysz i nazajutrz było mi lepiej. Przychodziła przez parę dni i przynosiła coraz lepsze rzeczy. Ale najlepsze było to, że siadała przy mnie i czytywała mi ciekawe opowieści i to tak ładnie, że nie mogłem się nasłuchać. Lubiłem ją serdecznie...

— Za to, że panu nie śpiewała pieśni pokutnych? — przekomarzała się niespokojna panienka. — Jabym panu nie darowała, gdybym była siostrą Julją.

— Widzi pani, dobrze się stało, że siostra Julja nie była panią.

— Djakonise winny mówić chorym o Bogu, o rzeczach świętych — utrzymywała dokuczliwa panienka.

— Ma pani rację — zgodził się pan Marek. — Ma pani rację—powtórzył niemal z entuzjazmem—i wie pani, że siostra Julja mówiła mi bezustannie o rzeczach najświętszych swoim uśmiechem, swoją anielską cierpliwością, sposobem poprawiania poduszki pod głową, podawania lekarstwa... Ciągle miałem tę myśl, że to sam Bóg posłał do mnie tę siostrę Julję i że przyszedł do mnie razem z nią ze swoim pokojem i z jakąś cichą radością. Ogromnie ją lubiłem i ciągle musiałem myśleć o tem świętem i wielkiem, które ją ożywiało. Przecież na to, aby znajdować przyjemność w obcowaniu z biedakami i chorymi, trzeba wyrzeczenia i... Ale kiedym nieraz mówił, że nie wiem czem się jej za to wszystko odwdzięczę, bo nie mam narazie pieniędzy, kiwała z wesołym uśmiechem głową i mówiła:

„Skredytujemy! Ja mam"! — I kiwała przytem głową, jakby chciała zaznaczyć, że ma tych pieniędzy ogromnie dużo. Przypomina mi się w tej chwili jakać cudowna opowieść Rabindranata Tagore o Supriyi, córce żebraka, która była bogatsza od wszystkich dworzan królewskich, gdy był głód w kraju i nie było czem karmić ubogich. Ona zabrała się do karmienia nędzarzy, powiadając, że jej ubóstwo jest jej siłą, bo ma skrzynie i śpichlerz w każdym domu. Taką bogatą była moja droga siostra Julja. Jeszcze dzisiaj słyszę jej wesoły głos, gdy do mnie mawiała:

„Skredytujemy!..."

— Pewnego dnia zmierzyła mi temperaturę, powiedziała, że już jest dobrze, kazała przez jakie dwa dni nie wychodzić z pokoju, zostawiła mi węgla na opał i trochę pożywienia, obiecała, że może jeszcze zajrzy, ale nie zajrzała. Od owego czasu szukam jej daremnie. Przyjechali właściciele mieszkania, wdowa, która mieszkała w niem wyprowadziła się, ja musiałem jechać do Łodzi, aby zobaczyć, co z naszej chudoby ocalało i siostra Julja zdołała zniknąć tak dokładnie, iż czasem wydaje mi się, że była tylko cudownym snem o dobroci i szlachetności ofiarnego niewieściego serca. Marzy mi się czasem wielkie mienie, abym je mógł dać siostrze Julji.

— Z pewnością by roztrwoniła—rzekła skora do uwag panienka.

— Tak jest, siostra Julja roztrwoniłaby największe mienie w najpiękniejszy sposób — zgodził się pan Marek. — Osuszyłaby tysiące łez i roześmiałaby tysiące najsmutniejszych oczu. Niech będzie błogosławiony Ten, którego wysłanniczkami są siostry Julje, nie szukające swoich rzeczy!

P. Hulka - Laskowski.

dniem i zarząd djakonatu jest w wielkim kłopocie nie mogąc zadowolnić wszystkich życzeń. Jako przykład wskażemy tylko na nasz Dom Sierot, od roku prowadzony przez djakonise z takim błogosławieństwem, że Opieka Domu Sierot dziękując w najgorętszych słowach za okazaną pomoc, domaga się jeszcze więcej sióstr. Wprawdzie djakonat nasz liczy dziś już prawie 50 członków i teoretycznie mógłby obsłużyć wszystkie nasze instytucje. Są to jednakże przeważnie jeszcze młode siostry, których zarząd nie może i nie chce bez gruntownego duchowego i fachowego przygotowania posyłać do samodzielnej pracy. Ale niedaleka jest już chwila, że nietylko nasz zbór, ale i zakłady w zborach prowincjonalnych będą mogły korzystać z pracy naszych „Tabitanek".

„...Służyły Mu z majętności swoich". To słowo pragnąłbym jeszcze podkreślić na zakończenie ku uwadze wszystkich naszych pań. Czyż „niewiasta w służbie Pańskiej", czyż nasz djakonat nie powinien się cieszyć najwydatniejszą ofiarnością ze strony pań naszego zboru, wszystkich pań — nietylko ze Społeczności? Wprawdzie rubryka ofiar w „Zwiastunie" wymownie świadczy, że to słowo z ew. św. Łukasza znajduje coraz większe zrozumienie, ale nasze potrzeby w obecnym stadjum są znaczne. Siostry nie potrzebują zewnętrznej pomocy, gdyż zapracują na siebie, a nawet jeszcze i po części i na potrzeby ogólne. Ale mamy obecnie 15 kandydatek, które przy otrzymaniu próbnego czepka muszą być umundurowane i wyekwipowane. Skądże na to mamy czerpać, gdy są potrzebne już tysiące złotych? A rychło zaczyna się przyjmowanie kandydatek na nowy kurs, a w łączności z tym nowe potrzeby i wydatki.

Dlatego zwracamy się z serdeczną prośbą do wszystkich naszych zacnych i pobożnych pań: służcie Mu z majętności swoich.

Ks. Z. M.

NASZA MATKA.

Imię jej jest Bogu - Miła,
Wspólny wieniec róż i cierni wiła.
Cicha, skromna, uśmiechnięta
Żadnej złego nie spamięta!
Jako wód szelestu słowa
Przemyka jasnych myśli głowa,
Za zbyt częste przewinienia —
Spojrzeń oczu napomnienia,
I znów jasno, uśmiech błogi —
Znika z twarzy odcień srogi.
Tak bezwiednie w każdej duszy
Blaskiem oczu ciemnie ruszy,
Bo jej uśmiech, oczu zorza
Jako ciche Słowo Boże.
Jako ranie balsam miły,
Tako duszy ócz jej siły.
Wciąż wyplenia dzikie ziele
Jak na duszy, tak na ciele;
Tam pocieszy, tu zachęci,
Zbawiciela słowem nęci.
Zawsze czynna i w bezczynie
Ta jest miłość, co nie ginie
Bo przyspiesza złego zgon
I przetwarza na miłości plon!
Choć w cierpieniu, wciąż pogodna,
Bo jej dusza, jako niwa rodna!
Czyn wynikiem myśli błogich
Dla nas jej starań drogich.
Jak u niebieskiego woza
Mknie wśród nas Mimoza
A jako podmuch z Nieba rogu
Nasza matka Miła - Bogu!

Kandydatka.



Grupa kandydatek w roku 1925.

DZIEŃ, KTÓRY UCZYNIŁ PAN*).

Ew. św. Marka 10, 42 — 45.

Umiłowany w Panu Zborze! Umiłowana w Panu Siostro! „Tenci to dzień, który uczynił Pan; rozweselmy się, a rozradujmy się weń". Ta pieśń psalmisty o radosnych chwilach łaski Bożej, jest wyrazem uczuć całego zgromadzenia naszego w tej chwili. Uroczystość nasza jest chwilą radosną nietylko dla djakonatu naszego, który po siedmioletniej blisko przerwie znów jedną rzeczywistą siostrę i zarazem przełożoną przyjmuje do swego grona, nietylko dla Ciebie, Siostro, która w niej widzisz spełnienie przez Pana najgorętszych swych życzeń i marzeń jeszcze z lat dziewczęcych; nietylko dla Społeczności naszej, która ma w Tobie serdeczną przyjaciółkę od pierwszych chwil swego istnienia, lecz i dla całego Zboru naszego. Wszak djakonat nasz jest tak ścisłemi węzłami związany z Tobą, Zborze, jak rzadko djakonat ewangelicki.

i prosić Pana o błogosławieństwo dla wszystkich sióstr, a przedewszystkiem dla Ciebie.

Nie w przepisach ludzkich widzimy te zasady, lecz w przeczytanem przed chwilą słowie i świętym przykładzie Tego, który nie przyszedł, aby Mu służono, lecz aby służył i aby dał duszę swą na okup za wielu. „Nie to jest Jego ideałem, by leżał świat u nóg sług Jego, uwielbiając i służąc, lecz aby słudzy Jego oddawali się światu, pomagając i służąc". W imię tego ideału i świętego przykładu i siostry djakonise powinny widzieć treść swego życia i pracy w służeniu. Stąd i ich nazwa: djakonisa t. zn. służebnica. Służyć bliźnim, służyć w miłości aż do zapomnienia o sobie, służyć aż do zaparcia się siebie, w posłuszeństwie wobec kierownictwa, — oto ich szczytny i miły sercu obowiązek. Siostra, która innemi kieruje, winna przejęta być myślą, że kierowanie innemi jest względem nich służbą i że Pan spodziewa się od niej tem więcej po-



Czytelnia sióstr w szpitalu Ewangelickim.

Powołany do życia uchwałą zgromadzenia zborowego, służy niemal wyłącznie Twoim potrzebom i korzysta z Twego duchowego i materjalnego poparcia. Dlatego też sądzimy, że będąc tak ściśle z djakonatem związany, pragniesz, byśmy największe uroczystości nie obchodzili w cichych murach naszych, lecz właśnie w Twojej obecności w świątyni, by dać Ci możność brania w nich udziału i okazywania, że oceniasz pożyteczność naszej pracy i z radością spoglądasz na powiększające się coraz bardziej nasze szeregi. W tej myśli pieśń psalmisty wyraża uczucia całego zgromadzenia naszego.

Lecz stajemy w tej chwili wraz z Tobą, Zborze, przed obliczem Najwyższego nietylko w tym celu, by Mu wyrazić radosne swe uczucia wobec nowego dowodu łaski, jaka na djakonat spływa, lecz by w tej chwili promiennej złożyć — Tobie, Zborze, ku uświadomieniu, a Tobie, Siostro, ku przypomnieniu — wyznanie tych świętych zasad, w których i nasz djakonat pragnie się utwierdzać,

kory i miłości, tem więcej zaparcia się siebie, tem więcej oddania się sprawie djakonji, im wyższe stanowisko w djakonacie zajmuje. A te, które są jej podwładne, powinny pamiętać, że nie tylko poddane są ludziom, lecz przedewszystkiem Panu, i że ich służba i posłuszeństwo dopiero wtedy posiadają wartość, gdy są owiane serdeczną miłością ku Panu i bliźnim. Tak, na służeniu bliźnim, w pokorze i miłości aż do zaparcia się siebie, polega życie i praca siostry djakonisy.

Lecz pomimo woli powstaje pytanie: skąd macie, Siostry, i Ty, Siostro Przełożona, czerpać moc do takiego życia? Ach, nie w umyśle ludzkim zrodziła się myśl, że człowiek za największą chwałę powinien uważać miłości pełną służbę dla dobra bliźnich. Nie, tę myśl nam objawia Zbawiciel, który nie na to przyszedł, aby Mu służono, lecz aby służył i w miłości świętej złożył swe życie w ofierze. I dzięki Bogu daje on nam więcej, niż objawienie takiego życia! Nie tylko je objawia, lecz daje nam moc do urzeczywistnienia jego. Przez to, że w miłości złożył swe życie w ofierze, zrywa pęta samolubstwa ludzkiego i daje moc do nowego życia tym, którzy pragną naślado-

*) Przemówienie ks. Rügera przy wyświęceniu siostry Józefy Borsch.

wać Go w życiu. Życie w naśladowaniu Jego jest dla nich życiem, pełnem świętej radości, cichego pokrzepienia i pokoju, którego świat nie zna i nie daje. Zbawiciel udziela im mocy Ducha św., która codziennie podważa w nich starego człowieka, pełnego samolubstwa, i czyni nowymi ludźmi wiary, którzy przez życie w pokorze i miłości dochodzą powoli do tej błogosławionej wielkości, do której zostali powołani przez Pana. Dlatego ku Niemu wznosimy serca w imieniu Twojem, Siostro, i w imieniu wszystkich sióstr naszych z serdeczną prośbą o błogosławieństwo słowami psalmisty: „Proszę, Panie! zachowajże teraz, proszę, Panie! zdarz teraz". Amen.



Sala stołowa sióstr w szpitalu ewangelickim.

Ks. M. Rüger.



Pokoik sióstr w szpitalu.

JEDEN TYLKO KROK.

(Z „Zacheusza" E. Modersohna).

Tylko krok jest do Jezusa,
On wszak tuż jest blisko nas.
Czegoż jeszcze się oglądasz?
Dzisiaj tylko łaski czas.
Patrz, jak litość szczera bije
z Jego słów; jak ciągnie wzrok...
Śpiesz-że! Rzuć się Mu na szyję —
Jeden tylko krok!

Tylko krok jest do Jezusa,
jeno wyjść ze siebie trza,
wyjść koniecznie z świata błędu,
z piekielnego swego „ja"!
Wyjście twe — u krzyża męki,
tam u Zbawcy swego zwłok
skrusz swe serce, wyznaj dzięki...
Jeden tylko krok!

Tylko krok jest do Jezusa;
ale wstąpić trzeba Weń,
w one głębie miłosierdzia
zleczające grzechu rdzeń.
Wtedy już cię nic nie wyrwie
z Jego sieci zbawczych ok —
Kto chce żyć — niech też ten mir wie:
jeden tylko krok!

Tylko krok jest do Jezusa,
przez najwęższą z wszystkich bram.
A dostawszy się do Niego —
zostań, proszę, zostań tam!
Jezus tylko cię przeciśnie
poprzez życia zgiełk i tłok —
ale idź! Wnet raj ci błyśnie!
Jeden tylko krok!

Przełożył *A. Kaszubski.*

Ks. Dr. TEODOR FLIEDNER

wskrzesiciel djakonatu apostolskiego w kościele ewangelickim.

Urząd djakonis istnieje w kościele bez mała tak dawno, jak i sam kościół. Już apostołowie dobrze rozumieli, że niewiasta posiada więcej delikatności i uczucia w niesieniu cielesnej i duchowej pomocy bliźnim, niż mężczyzna, i obok swego urzędu i urzędu djakonów postawili urząd djakonis. Djakonise udzielały nauki niewiastom, pragnącym przejść do kościoła, opiekowały się niemi podczas przyjęcia Chrztu św., odwiedzały chorych, wspierały ułomnych i biednych, odwiedzały w więzieniu prześladowanych za wiarę. Praca ich, owiana głęboką wiarą i serdeczną, ofiarną miłością, była wielkiem błogosławieństwem dla kościoła.

Kościół ewangelicki przez długie lata nie wskrzeszał tego błogosławionego urzędu. Luter mówił często o jego potrzebie i pożytku, lecz nie mógł zdobyć się na jego wskrzeszenie dla braku odpowiednich sił. I tak się złożyło, że przez wiele lat kościół poza rodziną nie dawał niewiastom żadnej pracy na chwałę Pańską i dla dobra bliźnich. Dopiero w pierwszej połowie ubiegłego stulecia dokonany został epokowy wyłom Przez wskrzeszenie urzędu djakonis zostało stworzone w kościele ewangelickim dla niewiast nowe pole pracy. Kościół otrzymał tysiące rąk, działających na tej niwie w jego imieniu znów na chwałę jego Pana i na pożytek bliźnich. Mężem Bożym, który w mocy ducha św. dokonał tego wiekopomnego czynu, był ks. dr. Teodor Fliedner.

Jerzy Henryk Teodor Fliedner urodził się 21 stycznia 1800 r., jako syn pastora Jakóba Ludwika Fliednera, w Niemczech w miasteczku Eppstein, uroczo położonem w górach Taunus.

Ojciec z początku niewiele obiecywał sobie po malcu wobec spokojnego, flegmatycznego jego usposobienia i często głośno to wypowiadał. Natomiast matka brała go stale w obronę, jakby wyczuwając bystry jego umysł, i zajmowała się nim więcej aniżeli innemi dziećmi. Zaledwie skończył malec 4 lata, kładła wieczorami na kolanach śpiewnik i, przędąc na kołowrotku, pokazywała mu litery i powoli uczyła je składać. Pojętny malec zdołał opanować alfabet i w siódmym roku życia już płynnie czytał. Miał on już wtedy wyższe dążenia i po dziecięcemu marzył, by pójść śladem dziadka i ojca i zostać duchownym. To też boleśnie odczuł słowa ojca, gdy ten pewnego razu powiedział o nim żartobliwie do swego przyjaciela: „To jest mój tłuścioch kochany, będzie kiedyś poczciwym piwowarem". Malec poczerwieniał na te słowa i odszedł z gorzkiemi łzami, ponieważ chciał być przecież pastorem. Ten milczący protest ambitnego dziecka rozrzewnił ojca. Przyłączył go do grupy dzieci, które uczył, i odtąd serdecznie nim się zajmował.

Teodor robił pod kierunkiem ojca tak szybkie postępy, jak przedtem przy boku matki. Chociaż najm.odszy w grupie, zdobył wkrótce w niejednym przedmiocie więcej wiadomości od starszych. Nie trzeba było nigdy nakłaniać go do nauki, gdyż książki były najmilszą dlań rozrywką. Potrafił siedzieć godzinami pomiędzy rozbawionem rodzeństwem i czytać, albo się chował w ogrodzie lub stodole, by mu nie przeszkadzano w nauce. Pomimo tego nie był powolny, jak przedtem. Z cichego dziecka wyrósł żywy chłopiec. Jak w nauce, tak i w zabawach chciał być zawsze pierwszym. W gonitwach i w chodzeniu na drzewa nikt mu nie mógł dorównać. Pomagał też chętnie rodzicom w gospodarstwie. Na jesieni zbierał dla ojca dziesięcinę w owocach. W zimie pomagał rąbać drzewo, a wieczorami strugał łyżki kuchenne. W lecie zbierał w lesie jagody i ani jednej nie ruszył, zanim nie napełnił koszyczka dla matki.

Ciężkie czasy zaczęły się dla rodziny w końcu 1813 r. W grudniu gen. Blücher zgromadził wojska na prawym brzegu środkowego Renu, by wkroczyć do Francji i zadać ostateczny cios Napoleonowi. Wszystkie wioski i doliny zajęli żołnierze. Nie oszczędzono i Eppsteinu. Umieszczono tutaj dzikie hordy kozackie, przysłane przez rosyjskiego cara w pomoc niemieckim wojskom. Oj! Dali się ludności we znaki i oni i zaraza, którą przywlekli ze sobą. Ks. Fliedner po całych dniach obchodził ciężko chorych. Gdy jednego wieczoru śmiertelnie znużony powrócił do domu, zastał w nim kozaków. Umieścił się sam dowódca, gen. Langeron. Żona sędziała we łzach nad kołyską najmłodszego dziecka, które leżało w konwulsjach. Nie mógł jej jednak pocieszać, gdyż sam czuł w sobie chorobę i musiał się położyć. Nazajutrz zaledwie zdążyła zamknąć oczy zmarłemu dziecku, gdy z przerażeniem spostrzegła, że mąż leży w gorączce. Dzicy żołnierze nie zwracali jednak uwagi na ciężko chorego. Codziennie 14 trębaczy grało p. generałowi pobudkę, a oficerowie zmuszali obydwie dorastające córki do brania udziału w tańcach. To wszystko działo się, gdy w sąsiedniej izbie ojciec rodziny walczył ze śmiercią. Nakoniec wyniosły się hordy kozackie, zabierając biednej rodzinie wszystkie zapasy żywności.

Przynajmniej trochę spokoju mógł zaznać chory. Gorące prośby zanosił wtedy Teodor do Pana, by zachował rodzinie drogie życie ojca. Pan zrządził jednak inaczej — nakrótko przed świętami Narodzenia Pańskiego chory zamknął oczy, osierocając żonę z 11 nieletnich dzieci. Lecz nie napróżno mówi Pan: „Nie zaniecham cię, ani cię opuszczę". Śmierć ks. Fiednera obudziła serdeczne współczucie dla pozostałej bez środków rodziny u władzy kościelnej i wśród licznych znajomych. Dzięki pomocy ludzi dobrej woli dostał się Teodor do gimnazjum, a po ukończeniu gimnazjum odbył chlubnie studja teologiczne, przygotowując się do urzędu pastorskiego. Na jesieni 1819 r. wstąpił do seminarjum duchownego w Herbornie, gdzie otrzymał ostateczne praktyczne przygotowanie, potrzebne do objęcia urzędu duchownego w księstwie Nassawskiem. Jednak nie było mu dane służyć kościołowi w swej małej ojczyźnie Pan skierował jego kroki do innej prowincji niemieckiej. Było w owe czasy w Niemczech w zwyczaju, że młodzi teolodzy przed rozpoczęciem działalności pasterskiej przyjmowali posady nauczycieli domowych. Taką posadę otrzymał Fleidner u bogatego kupca w Kolonji. Pobyt w tym domu miał dla niego duże znaczenie nie tylko pod tym względem, że poznał tu dobre formy towarzyskie, jakie wtedy panowały w wyższych sferach, on, który później z książętami i królami obcował, lecz jednocześnie pogłębił się w wierze i nauczył się poważnie pojmować obowiązki duchownego. Zbawienny ten wpływ wywarł nań radca konsystorski ks. Krafft, mąż głębokiej wiary i wielkiego znaczenia dla kościoła ewangelickiego w prowincji Nadreńskiej. Ks. Krafft zajął się serdecznie Fliednerem. Zbliżył się do niego, jako ojciec, pozwalał mu zastępować się często w kazaniach i dał mu pracę w miejscowem towarzystwie biblijnem. Całą duszą oddał się Fliedner tej pracy i często o niej wspominał, dużo bowiem nauczył się w tym czasie i wdzięczną pamięć zachował o swoim przewodniku.

W połowie lutego 1822 r. rozpoczął ks. Fliedner działalność pasterską w maleńkim zborze, liczącym zaledwie 150 dusz, w czysto katolickiem miasteczku Kaiserswercie nad rzeką Renem. Młody, lecz nadzwyczaj zdolny i pracowity pastor otrzymuje najmniejszy zbór; ten, który ma pamiętać o licznem młodszem rodzeństwie, otrzymuje tak małą pensję, że poprzednikom jego trudno było z niej wyżyć! Bardzo skromne warunki nie zrażały go jednak. Wszak do ubóstwa był przyzwyczajony. I dzieciństwo, spędzone w domu rodzicielskim, i późniejsze lata nauczyły go, że należy zadawalniać się małem i dziękować Bogu za wszystko, co daje. Że nie miał wprost żadnych wymagań, widzimy z tego, że przyszedł do Kaiserswertu piechotą o jeden dzień wcześniej, aniżeli zapowiedział, by biednemu zborowi zaoszczędzić kosztów uroczystego sprowadzenia pastora. Młody kaznadzieja gorliwie poświęcił się swemu zborowi, dbał o szkołę, opiekował się ubogimi, urządził w plebanji szkółkę, a starsza siostra Katarzyna, która zamieszkała u niego z 2 młodszymi braćmi, była mu wielką pomocą.

Lecz wkrótce nastąpiły krytyczne czasy. Bankructwo miejscowej fabryki aksamitu spowodowało nie tylko utratę dużej zapomogi, którą jej właściciele płacili na potrzeby zboru, lecz i zupełne zubożenie pozostałych bez pracy robotników, z których zbór przeważnie się składał. Na domiar nieszczęścia, zbór nie spłacił jeszcze długu, jaki za-

ciągnął u właścicieli fabryki na budowę kościoła, i wierzyciele żądali wystawienia na licytację plebanji, oprócz kościoła jedynej własności zborowej. Zdawało się, że sprawa dalszego bytu zboru jest już przesądzona, że nic nie zdoła zachować go przed ruiną. Już zacierała ręce ludność katolicka z miejscowym proboszczem i fanatycznym burmistrzem na czele, z radości że garstka ewangelików pozostanie bez opieki duchownej i prędzej, czy później stanie się łupem kościoła katolickiego. Wszyscy opuścili już ręce. Jeden tylko człowiek w zborze pozostał dobrej myśli i pełen ufności w pomoc Tego, który opieką swoją osłania, — to był ks. Fliedner. Nie chciał on opuścić zboru, jako najemnik, wtedy, gdy ten więcej, aniżeli kiedykolwiek, potrzebował pomocy i opieki, i wyjednał w Konsystorzu pozwolenie na zbieranie ofiar w prowincji, w obrębie której mieszkał. W lutym 1823 r. udał się po nabożeństwie w podróż piechotą. Oczywiście, nie obyła się bez trudności i przykrości. Spotkał się z niejedną odmową w zamożnych domach, musiał niejednego przykrego słowa wysłuchać. Naogół doznał jednak obfitej pomocy od Pana. Wbrew przewidywaniom zebrał tyle pieniędzy, że spłacił wszystkie długi zboru. Niebezpieczeństwo zostało narazie zażegnane, lecz tylko narazie. Kolegjum kościelne orzekło, że byt zboru wtedy będzie zabezpieczony, gdy zostanie zebrany kapitał, którego procent starczy na pokrywanie najważniejszych wydatków. Należało zatem w dalszym ciągu zbierać ofiary. Ks. Fliedner nie miał już prawa robić tego w kraju, nie pozostawało mu więc nic innego, jak zwrócić się z prośbą do zagranicy. Postanowił on pojechać przedewszystkiem do Holandji, ponieważ ten kraj dawał mu najwięcej nadziei na obfitą zbiórkę. Holandja przysyłała zborowi Kaiserwerckiemu przez pewien czas zapomogi pieniężne Wprawdzie ustały one przed 10 laty, dały mu jednak prawo do ponowienia prośby o pomoc.

Pożegnawszy się uroczyście ze zborem i poleciwszy sprawę miłosierdziu Pańskiemu, udał się ks. Fliedner w podróż w pierwszych dniach czerwca 1823 r. Liczne listy polecające i zaświadczenia władzy kościelnej miały ułatwić mu wszędzie wykonanie trudnego obowiązku, jaki wziął na siebie.

Pierwsza czterodniowa kolekta dała bardzo nikłe rezultaty. Lecz nie na to przyłożył ks. Fliedner ręce do tej pracy, żeby zaraz pierwszem niepowodzeniem się zrażać. Poszedł on za głosem jednego z duchownych, który mu radził udać się do Amsterdamu i dopiero po nadaniu tam rozgłosu sprawie zbierać ofiary po mniejszych miastach. W Amsterdamie ks. Fliedner przedstawił sprawę przedewszystkiem miejscowym duchownym, prosząc o pomoc. Wszyscy przyjęli go bardzo życzliwie, lecz powiedzieli, że musi uzyskać na to pozwolenie ministerstwa. Upłynęło 14 dni, zanim przyszła odpowiedź. Myślał, że w ciągu 2 — 3 tygodni dokona tu zbiórki, a tymczasem przeszło kilkanaście dni, a on zbiórki jeszcze nie mógł rozpocząć. Ministerstwo dało wreszcie przychylną odpowiedź. Teraz ks. Fliedner rozpoczął zbiórkę. Przystąpił do niej z wielką obawą, czy się uda. Lecz jakże zawstydził go Pan nadspodziewanem błogosławieństwem! Doznał on wszędzie wprost wzruszających dowodów miłości. Prawie każdy uważał za obowiązek, coś dla sprawy uczynić. Bogate rodziny, poczynając od ministrów, składały hojne ofiary. Według stanu zamożności dawali i rzemieślnicy, a nawet i służba domowa. Niektórzy składali na ręce ks. Fliednera ofiary bezimiennie, zatrzymując go poprostu na ulicy. Inni dawali mu adresy osób, które pragnęły, by je odwiedził i przyjął od nich ofiarę.

Po dziewięciomiesięcznym pobycie w Holandji ks. Fliedner pojechał do Anglji. I w tym kraju błogosławił Pan jego staraniom. Wprawdzie i tutaj musiał pewien czas czekać, zanim sprawa nie nabrała rozgłosu, i jako tako nie nauczył się po angielsku. Zato największe domy zapoczątkowały kolektę. Pierwszą ofiarę złożyła późniejsza królowa angielska, wówczas kilkoletnia zaledwie księżniczka Wiktorja, następnie liczni członkowie rodziny królewskiej, arcybiskup Canterburyjski, biskup Londynu i inni.

14 miesięcy trwała cała podróż. Cel jej został w zupełności osiągnięty. Ks. Fliedner zebrał po potrąceniu wydatków przeszło 18000 guldenów czyli 43000 mk. i tem zapewnił byt kochanemu swemu zborowi.

Większe jednak znaczenie, niż zebrane pieniądze, miało dla niego doświadczenie, z jakiem powrócił Podczas pobytu w Holandji i Anglji zwiedził on wiele zakładów dobroczynnych — domów wychowawczych, przytułków, szpitali, więzień, poznał instytucję djakonis i zauważył, że żywa wiara w Chrystusa powołała je wszystkie do życia i dalej utrzymuje.

To poznanie silnie pokrzepiło jego wiarę i zachęciło do pracy w kraju w tym kierunku. Wobec tego należy tę podróż uważać za szkołę, w której Bóg przygotował sobie w nim narzędzie do późniejszych wielkich jego czynów.

Po powrocie do kraju ks Fliedner zwrócił uwagę przedewszystkiem na więzienia. Zakłady te znajdowały się wtedy w Niemczech w bardzo smutnym stanie. Więźniowie bywali umieszczani w ciasnych brudnych izbach, często w wilgotnych piwnicach bez powietrza i światła. Chłopcy siedzieli w jednej izbie z przebiegłymi rzezimieszkami, dziew-



Ks. Dr. Teodor Fliedner.

częta z upadłemi moralnie kobietami. Nie było prawie żadnego nadzoru. Nabożeństwa odbywały się tylko w niewielkiej ilości więzień. Nie myślano o urządzeniu przymusowych robót ręcznych dla wszystkich więźniów, o szkole dla analfabetów. To też bezczynność w więzieniach musiała sprzyjać szerzeniu się zepsucia. Wytrawni złodzieje byli nauczycielami początkujących, i więzienia nazywały się słusznie akademjami występku. Ks. Fliedner słyszał niejedno o tej nędzy, chciał jednak dokładnie ją poznać, by móc przystąpić do walki. W tym celu zwrócił się do władz w Düsseldorfie z prośbą o zamknięcie go w więzieniu na kilka tygodni, jako więźnia. Oczywiście ta prośba została odrzucona, pozwolono mu jednak odprawiać co 2 tygodnie nabożeństwa dla więźniów wyznania ewang. i roztaczać nad nimi opiekę duszpasterską. Ten nowy urząd pozwolił mu poznać dokładnie niedomagania więzień i wystąpić do rządu z wnioskami, zmierzającemi do ich usunięcia. Z drugiej strony był tego zdania, że społeczeństwo powinno współpracować z rządem i otaczać więźniów opieką zarówno podczas odsiadywania kary, jak i po wyjściu z więzienia, i w tym celu zabiegał o utworzenie reńsko-westfalskiego towarzystwa opieki nad więźniami. Ale i w Niemczech najlepsze projekty napotykały w urzędach na największe przeszkody, jeżeli owiane były nową myślą i nie szły utartemi szlakami. Dopiero po $1\frac{1}{2}$ rocznych zabiegach kilku wpływowych osobistości, które ks. Fliedner zdołał zjednać dla tej sprawy, został ostatecznie zatwierdzony ten pierwszy w Niemczech patronat nad więźniami. Patronat utrzymywał duchownych, urządzał w więzieniach dyżury, które

miały na celu kontrolowanie służby więziennej, urządzał szkoły dla analfabetów, bibljoteczki więzienne i opiekował się więźniami po odsiedzeniu kary. Jako sekretarz patronatu, ks. Fliedner zwiedzał więzienia i objeżdżał prowincję Westfalską, zachęcając wszędzie do zakładania kółek, któreby popierały jego działalność. Szczególnie leżała mu na sercu sprawa opieki nad dziewczętami po wyjściu z więzienia. Jeżeli mężczyznom trudno było po wyjściu z więzienia znaleźć pracę, o ile trudniej — kobietom. Nigdzie nie chciano przyjmować ich na służbę. Wobec tego patronat doszedł do przekonania, że należy otwierać schroniska, w których wypuszczone na wolność kobiety przyzwyczajałyby się przez pewien czas pod odpowiedniem kierownictwem do pobożnego życia, uczyły się gospodarstwa domowego i robót kobiecych, a dopiero później w razie dobrego prowadzenia się były oddawane do służby, a zarząd schroniska roztaczałby nad niemi w dalszym ciągu opiekę i kontrolę. Lecz zachodziło pytanie: gdzie takie schronisko założyć i kto je poprowadzi? I tu ks. Fliedner był tym mężem opatrznościowym, który z całym zapałem przyłożył rękę do pracy z ufnością, że Pan nie opuści go. Podczas pobytu w Anglji zwiedził taże schronisko, założone przez pierwszą opiekunkę więźniów Elżbietę Fry. Wielką pomocą była mu jego dzielna żona Fryderyka z d. Münster, która przed zamąpójściem pracowała przez pewien czas bezinteresownie w zakładzie dla moralnie zaniedbanych dzieci w Düsseldorfie. Pierwsze schronisko dla ewangeliczek zostało założone w domku, położonym w ogrodzie pastorskim. Pierwszą wychowanką była 20-letnia Minna, dwukrotnie karana już więzieniem. Na pracę w schronisku wielu spoglądała z politowaniem. Jedna z opiekunek, wpływowa hr. v. Spee, przepowiadała, że wychowanka ucieknie najpóźniej po upływie miesiąca, obiecała jednak 5 talarów, jeżeli przepowiednia jej się nie sprawdzi. Możemy wyobrazić sobie, z jaką radością szedł do niej ks. Fliedner po upływie miesiąca, by oznajmić, że Minna jest jeszcze! Ilość wychowanek o tyle się zwiększyła, że schronisko trzeba było przenieść do większego domu. W ciągu pierwszego roku przyjęto 10 osób w wieku 17 — 22 lat, z których 9 więcej, niż jeden raz, odsiadywało więzienie. Z tych 5 umieszczono w służbie już 1 czerwca 1834 r. Ale pierwsze dobre wyniki pracy były wielką nagrodą dla ks. Fliednera i jego pomocnic. Później to schronisko stało się zakładem magdalenek, ponieważ przyjmowało oprócz kobiet, wypuszczonych z więzienia, i kobiety upadłe, nie karane jeszcze więzieniem, które pragnęły poprawy.

Lecz czy tylko więźniowie mieli mieć przywilej korzystania z opieki chrześcijańskiej? Czy kościół ewangelicki nie powinien dać jej i chorym w szpitalach i zwrócić należytej uwagi na wychowanie biednych, opuszczonych dzieci? Oto rozległe, nieuprawne dotychczas przez kościół ewangelicki niwy, a tak odpowiednie dla pobożnych niewiast! Kościół ewangelicki nie stworzył dla nich dotąd poza rodziną żadnego terenu pracy, którýby mogły w jego imieniu uprawiać. A jednak kto może lepiej pielęgnować chorych, jak pełne wiary i poświęcenia niewiasty? Kto może lepiej wychowywać dzieci, jeżeli nie one, pełne macierzyńskiej miłości? Szczególnie chorzy byli oddawna przedmiotem jego troski. Jak często widział ich zaniedbywanych, źle pielęgnowanych, zupełnie zaniedbanych duchowo, formalnie więdnących w niezdrowych często izbach, jak liście na drzewach w jesiennej porze! Ile miast, nawet większych, nie miało szpitali! A tam — gdzie były?! Widział szpitale, urządzone z przepychem, naprz. w Manchester w Anglji, lecz z bardzo złą opieką pielęgniarską. Kościół apostolski korzystał z pracy niewiast dla pielęgnowania bliźnich stworzył w tym celu urząd djakonis. Ks. Fliedner rzucił myśl wskrzeszenia w kościele ewangelickim tej błogosławionej instytucji. Lecz znów pytanie: gdzie ją założyć? Kaiserswert nie wydawał mu się odpowiednim, ponieważ był miasteczkiem z ludnością przeważnie katolicką i wtedy jeszcze tak biedną, że nie można było myśleć o zbieraniu ofiar na częściowe choćby pokrywanie kosztów utrzymania djakonatu. Wobec tego proponował okolicznym duchownym, szczeg. w Elberfeldzie zajęcie się tą sprawą. Wszyscy oni wymawiali się jednak brakiem czasu i zachęcali go do wzięcia jej w swe ręce. Zrozumiał wtedy ks. Fliedner, że Pan chce złożyć i ten ciężar na jego barki, i Jego woli się poddał. Nie mając pieniędzy, lecz ufny w pomoc Pańską, nabył 20 kwietnia 1836 r. największy i najpiękniejszy dom w Kaiserswercie na szpital i dom djakonis pod warunkiem, że zapłaci na jesieni. I oto nastał zaraz czas ciężkiej próby, który groził instytucji zagładą jeszcze przed jej otwarciem. Gdy lokatorzy - katolicy tego domu się dowiedzieli, że ma być urządzony w nim szpital, podnieśli krzyk na całe miasto i starali się podburzyć przeciwko ks. Fliednerowi całą ludność katolicką, a przedewszystkiem duchownych, którzy wszak nie powinni tolerować, by szpital znajdował się pod zarządem ewangelickim. Ks. Fliedner nie miał zamiaru prowadzić w szpitalu propagandy wyznaniowej. Najlepszy dowód, że powołał na lekarza szpitalnego lekarza wyznania rz.-kat., ponieważ został mu polecony przez rząd, jako najlepszy lekarz, aczkolwiek i lekarze-ewangelicy ordynowali w mieście. Jeden z nich, rozgniewany na ks. Fliednera, że wolał młodszego od niego i to katolika, biegał po mieście i również podburzał mieszkańców, strasząc, że szpital będzie przyjmował i chorych zakaźnych i cholerycznych i będzie roznosił zarazę po całem mieście. Oczywiście, ta robota była katolikom wodą na młyn. Pewnego razu przyszło do niego 2 radców miejskich i zażądało kategorycznie, by odstąpił od swego zamiaru, gdyż całe miasto jest przeciwko niemu. Lekarz - katolik upadł zupełnie na duchu. Lecz żarliwa pobożność ks. Fliednera i tym razem odniosła zwycięstwo! Zdołał on przekonać wszystkich przeciwników, że szpital będzie raczej błogosławieństwem dla miasta. Wzamian za pewne odszkodowanie usunął z domu wszystkich lokatorów. Otrzymał w drodze pożyczki pieniądze na kupno domu, a w drodze kolekty na wewnętrzne urządzenie szpitala. Zesłał mu też Pan i starszą siostrę w osobie Gertrudy Reinhardt, córki lekarza z Ruhrortu. Przez szereg lat pomagała ona ojcu, a później bratu, również lekarzowi, w pielęgnowaniu i opatrywaniu chorych i miała pod tym względem dużo doświadczenia. Po pewnych wahaniach obiecała przybyć do Kaiserswertu 20 października. Ks. Fliedner nie chciał jednak czekać tak długo z otwarciem instytucji. 2 niewiasty zobowiązały się pracować czasowo w szpitalu. Przybyły one 13 października i urządziły parter dla siebie i na przyjęcie kilku chorych. Urządzenie było bardzo ubogie i niedostateczne. Jeden stół ,kilka krzeseł z nadłubanemi poręczami, wyszczerbione noże, kilka widelców, staromodne łóżka różnych fasonów i kolorów stanowiły umeblowanie. Tak to niepozornie rozpoczął ks. Fliedner 13 października 1836 r. największe swe dzieło — otworzył pierwszy djakonat w kościele ewangelickim! W tak skromnych ramach wskrzesił apostolski urząd djakonis! Niepozorną zewnętrzną szatą owej nowej instytucji ks. Fliedner bynajmniej się nie zrażał, pisał bowiem: „Wyprowadziliśmy się z wielką radością, ponieważ wiedzieliśmy, wyczuwaliśmy, że Pan zgotował sobie tutaj miejsce". Opieka nad młodą instytucją spoczywała na założonem w tym celu dzięki zabiegom ks. Fliednera reńsko - westfalskiem towarzystwie. Towarzystwo postanowiło zaraz na wstępie pracować w jaknajściślejszej łączności z kościołem. Dlatego też przewodniczący miejscowych synodów mieli być stale członkami zarządu.

W pierwszym roku panował w szpitalu wielki niedostatek Pod koniec października było 4 ciężko chorych. Niektórzy potrzebowali codziennie czystej bielizny pościelowej, a było tylko kilka prześcieradeł. Siostry musiały co wieczór stać przy balji i prać. W kuchni brakowało stołu i szafy. Talerze, półmiski trzeba było stawiać na oknie. Na szpitalu ciążyło 3000 talarów długu. Lecz ks. Fliedner nie upadał na duchu. Modlił się i działał. Utworzyło się na jego zew 15 stowarzyszeń niewieścich, które przysyłały bieliznę i ubrania. Z taką otuchą spoglądał w przyszłość, że nakreślił program pracy djakonis nazewnątrz w kościele: „W trojaki sposób zamierzamy użytkować pracę djakonis i nazewnątrz naszego zakładu: 1) będziemy posyłali djakonisę osobom prywatnym, które potrzebują pielęgniarki dla chorego członka rodziny, za niewielką codzienną opłatą na rzecz zakładu obejmie ona pielęgnowanie i po ukończeniu pracy powróci do domu; 2) jeżeli w zborze utworzy się stowarzyszenie dla utrzymywania djakonisy w celu pielęgnowania chorych i biednych, albo jeżeli kolegjum kościelne będzie tworzyło takie stowarzyszenia, dawać mu będziemy djakonisę; 3) dawać będziemy djakonisę stowarzyszeniom lub władzm, które będą o nie prosiły dla obsługi szpitala albo przytułku.

Niezmordowanie wpajał ks. Fliedner w siostry wzniosłe pojmowanie ich pracy. Praca djakonis jest świętą służbą Bożą, lecz tylko wtedy, jako świętą służbę, mogą ją pełnić, jeżeli będą wierne Panu i w pełnieniu najmniejszych obowiązków. Dlatego też pisał do nich w pierwszym swym liście: „Pracę Waszą, pełną miłości, mam ciągle przed oczami. Codziennie się modlę, i ze mną modlą się kochani nasi przyjaciele i przyjaciółki, by wierny Pasterz: Zbawiciel każdego dnia i każdej godziny wzmacniał Was na ciele i na duszy, byście bez zmęczenia pielęgnowały Go w chorych i ubogich. O, jaki to słodki ciężar i trud, omywać rany Chrystusowe i Jego ciało namaszczać! Kto nie robiłby tego chętnie wraz z Marją Magdaleną i Salome i nie poczytałby sobie za szczęście, pełnić tę służbę u Jego ciała! Tak, jaki chrześcijanin nie obmywałby chętnie z krwi Jego umęczonego ciała na Golgocie i nie osuszałby swemi włosami! Oto obecna Wasza praca przy chorych, umiłowane w Panu Siostry, jest niczem innem, jak pracą Marji Magdaleny i Salome, jeżeli pełnicie ją w wierze, w miłości ku Niemu!"

Również wzniośle opisał ks. Fliedner powołanie djakonisy i wypływające stąd jej obowiązki względem potrzebujących pomocy bliźnich i jej współpracowniczek w opracowanym przez siebie porządku domowym dla sióstr. Słowa jego tchną tak głębokim duchem ewangelicznej miłości i pokory, że pozwolę sobie, choć w części je przytoczyć:

1) „Djakonise mają powołanie podobnie, jak Feba, służyć naszym zborom, a mianowicie przez pielęgnowanie ich chorych, ubogich, więźniów i potrzebujących pomocy dzieci.

2) W sprawie pielęgnowania chorych, powinny djakonise mieć przedewszystkiem w pamięci, jeżeli chcą pełnić to powołanie w ewangelicznym i apostolskim duchu, że muszą pielęgnować chorych, jako służebnice, co też oznacza i ich urzędowa nazwa: djakonise, a mianowicie:

a) jako służebnice Zbawiciela Pana,
b) jako służebnice chorych ze względu na Zbawiciela i
c) jako służebnice pomiędzy sobą.

3) Podobnie, jak miłość Chrystusowa zmusza każdego szczerego chrześcijanina, by żył nie dla siebie, lecz dla Tego, który dla niego umarł i zmartwychwstał (2 Kor. $5_{14, 15}$), tak też i każda djakonisa powinna pielęgnować chorych nie dla zapłaty, ani dla chwały doczesnej, lecz z wdzięcznej miłości ku Temu, który i jej niemoce wziął na się i jej boleści nosił. Powinna zatem dążyć do tego, by czynić wsystko w imieniu Jezusowem, dla Niego i jako miłosierna samarytanka, w Jego służbie.

Taką pełną wiary i miłości pracą pielęgnuje ona w chorych Jego samego według Jego słowa: „Byłem chorym, a nawiedziliście mię. Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili" (Mat. 25, 36, 40).

4) Pielęgnując chorych, djakonisa musi uważać się nie tylko za służebnicę Zbawiciela Pana, lecz i za służebnicę chorych ze względu na Niego (2 Kor. 4, 5. 1 Kor. 9, 19). Wobec tego powinna w stosunku do chorych oblekać się w dobrotliwość, łagodność, cierpliwość i w taką pokorę, jakgdyby chorzy byli jej panami. Powinna jednak być ich służebnicą z miłości ku Panu, którego widzi w chorych.

5) W pożyciu ze sobą i w współpracy djakonise powinny za przykładem Zbawiciela, który stał się naszym sługą, być dla siebie służebnicami, nic nie czyniąc spornie albo przez próżną chwałę, ale w pokorze jedne mając drugie za wyższe nad się (Fil. 2, 2, 4) tak, żeby ta, która chce być wielką, ba pierwszą, była sługą wszystkich (Mrk. 10, 42—45). Przytem miłość siostrzana powinna być serdeczna pomiędzy niemi (Rzym. 12, 10).

Z powyższego widzimy, że ks. Fliedner pozostawił djakonatowi całkowicie treść biblijnego djakonatu, ale tę treść włożył w nowe ramy, odpowiadające duchowi czasu. Podczas, gdy w kościele apostolskim djakonise pracowały oddzielnie i żyły oddzielnie, nie mając żadnej łączności pomiędzy sobą oprócz duchowej, ks. Fliedner stworzył dla nich teraz nową organizację. Mają one tworzyć swego rodzaju związek, stanowić też i zewnętrznie jedną wielką rodzinę, któraby im dotychczasowe rodziny zastąpiła. Oczywiście, potrzebne są do tego przepisy, któreby normowały życie, pracę i stosunek djakonis do siebie i do domu macierzystego, i te przepissy ks. Fliedner sumiennie opracował w duchu ewangelicznej miłości i wolności. Ks. Fliedner wprowadził dla djakonis też i specjalny strój, który z początku gwałtownie zwalczano, uważając go za przejęty z kościoła katolickiego, a nieodpowiadający duchowi kościoła ewangelickiego. Ks. Fliedner wiedział jednak, co robił. Czyż mogą siostry obyć się bez niego? Wszak niewiasta, któraby o każdej porze dnia i nocy do każdego domu wejść mogła dla spełnienia swych obowiązków pielęgnowania i opieki, musi w swym ubiorze mieć ochronę i zarazem świadectwo, ażeby każdy wiedział natychmiast, kogo ma przed sobą. A czy z drugiej strony zmiany mody nie zajmowałyby myśli djakonis, które w zupełnie innym kierunku powinny być zajęte? Ks. Fliedner wybrał strój jak najprostszy, strój niewiast stanu mieszczańskiego owych czasów.

Bóg błogosławił ks. Fliednerowi. Liczba djakonis wzrastała tak szybko, że w niespełna 2 lata mógł je wysyłać do pracy w różnych miejscowościach. Prawą ręką jego i w djakonacie była jego dzielna żona Fryderyka. Siostra Gertruda nie nadawała się na stanowisko przełożonej. Uznała to z pokorą i pozostała w djakonacie w charakterze zwykłej siostry, jako „pierwsza djakonisa nowych czasów". Nie mogąc znaleźć innej osoby na odpowiedzialny urząd przełożonej, ks. Fliedner powierzył go swej żonie. Faktycznie sprawowała ona i tak ten urząd od samego początku i z zaparciem się siebie dzieliła z mężem wszystkie troski, związane z prowadzeniem tak szybko rozrastającego się djakonatu. Po jej śmierci w r. 1841 djakonat pozostawał przez 2 lata bez przełożonej, a potem znalazł godną jej następczynię w drugiej jego żonie Karolinie Bertheau. Wogóle posiadał ks. Fliedner szczególny dar wyszukiwania odpowiednich osób do pomocy, umiał je zagrzewać do pracy i kierować niemi.

Pole działalności djakonis w Kaiserswercie powiekszyło się znacznie przez założenie domu sierot w r. 1842 i seminarjum dla nauczycielek ludowych w r. 1846.

Nie bedziemy zatrzymywali się na rozwoju ani tych, ani też późniejszych instytucyj, które powstały w Kaiserswercie. Ks. Fliedner zakładał i budował wszystko, czego wymagał rozwój djakonatu. I tak: w r. 1844 stworzył dom macierzysty, jako dom rodzinny sióstr i jako ośrodek, z którego rozchodziły się siostry na różne pola pracy. W tym samym roku wybudował dom dla swego pomocnika, nauczycieli, buchaltera i kancelarji. W r. 1846 wzniósł dom na seminarjum dla nauczycielek ludowych. W roku 1852 wybudował zakład dla nerwowo chorych kobiet, a w następnym roku — Salem, dom dla sióstr-emerytek. Często walczył ks. Fliedner z niedostatkiem, lecz często cudownie zjawiała się też i pomoc. Wymienię jeden przykład: Drożyzna w r. 1846 i 1847 dała się zakładowi srodze we znaki. Ks. Fliednera nie było w domu, gdy żona znalazła się w ciężkich kłopotach pieniężnych. Napisała do niego do Berlina, że oprócz innych koniecznych wydatków musi zapłacić 600 talarów za mąkę. Odpisał jej na to: „Gdy otrzymałem wczoraj Twój list, pomyślałem sobie: ach, mógłby kochany książe Waldenburg przysłać mi te 600 talarów. Dziś po południu, opowiadając p. Ranzau o Twoich kłopotach, powiedziałem: Jeżeli książe Waldenburg przyjdzie w tych dniach, nie przyjdzie z pustemi rękami, a wtedy żona będzie mogła zapłacić część długu. I rzeczywiście, gdy przyszedłem do domu, patrzę, a oto leży na stole od księcia pakiet z 600 talarami. Czy to nie cudowna pomoc, akurat 600 talarów przysłał!

Coraz więcej osób zwracało uwagę na cichą i błogosławioną pracę ks. Fliednera i coraz lepiej ją oceniało. Król pruski Fryderyk Wilhelm IV był jego protektorem, a wydział teologiczny uniwersytetu w Bonn obdarzył go w r. 1855 tytułem doktora teologji.

W wielu miejscowościach powstawały domy djakonis nie tylko w poszczególnych prowincjach Niemiec, lecz i w innych krajach ewangelickich. Najwięcej przyczyniał się do tego ks. Fliedner, który objeżdżał poszczególne prowincje i kraje, płomiennemi przemówieniami zachęcał do ich zakładania, służył radą i dawał djakonise na zapoczątkowanie dzieła. Zawoził on siostry nawet do Ameryki Północnej i do Palestyny.

Ciężka choroba płuc często przeszkadzała mu w pracy, lecz nie mogła zupełnie powstrzymać go od niej.

Prośby rodziny i przyjaciół skłaniały go najwyżej do krótszego lub dłuższego odpoczynku. W ostatnich 7 latach życia nie mógł opuszczać już domu. Radosną chwilą pod koniec życia był dla niego obchód 25-letniego jubileuszu djakonatu w r. 1861. W tymże roku zebrali się na zaproszenie jego przedstawiciele wielu domów djakonis do Kaiserswertu na generalną konferencję, która powtarza się od tego roku co trzy lata i przyniosła już wiele błogosławieństwa. Gdy w trzy lata później ks. Fliedner zamknął oczy, było już 30 domów macierzystych i 600 sióstr pracowało na 400 rozmaitych placówkach. Sam Kaiserswert liczył wtedy 425 sióstr w domu macierzystym i na 100 przeszło stacjach zewnętrznych w 4 częściach świata. W tym jednym roku pielęgnowały one 26.000 chorych, wychowywały 3000 dzieci i t. d.

4 października 1864 r. ks. Fliedner zakończył życie. Jego zięć, współpracownik i następca, ks. Juljusz Disselhof wygłosił nad grobem jego mowę na słowa 1 Kor. 15, 10: „Łaską Bożą jestem tem, czem jestem, a łaska Jego ku mnie nie była daremna, lecz bardziej, niż oni wszyscy pracowałem, wszakże nie ja, lecz łaska Boża, która jest ze mną". Kamień na jego grobie nosi napis: „Z łaski Bożej wskrzesiciel apostolskiego djakonatu" i określa temi słowy całe znaczenie jego dla kościoła ewangelickiego.

60 przeszło lat upłynęło od śmierci ks. Fliednera. Djakonat stał się niezbędnym czynnikiem w życiu kościoła ewangelickiego.

Świadczy o tem olbrzymi jego rozrost. W r. ub. Kaiserswert liczył 1608 sióstr, które obsługiwały 369 placówek, a w całych Niemczech pracowało 21728 sióstr na 8304 placówkach. Jakie błogosławieństwo Boże spoczywa na tej pracy! Ile ulgi przyniosły cierpiącym bliźnim te niewiasty, będące w służbie kościoła! Bogu niech będą za to dzięki! Imię ks. Fliednera niech będzie błogosławione po wszystkie czasy, a jego gorące życzenie, by w każdym kraju popierały niewiasty sprawę djakonji, niech zachęca liczne niewiasty nasze do powiększania szeregów naszego djakonatu dla pracy przy cierpiących i potrzebujących pomocy bliźnich na chwałę Pańską!

Ks. M. Rüger.

SKŁAD PERSONALNY

DJAKONATU „TABITA" W WARSZAWIE

(dnia 1 września 1926 r.)

1. **Matka - Przełożona Józefa Borschówna** Warszawa

I. Siostry rzeczywiste

2. S. **Berta** Schmidtówna — Warszawa
3. S. **Marja I** Govenlocków — Żyrardów ref.
4. S. **Elżbieta** Kassnerówna — Warszawa
5. S. **Emilja** Lindnerówna — "
6. S. **Eugenja** Detkówna
7. S. **Marja II** Almertówna — Warszawa
8. S. **Klara I** Lichtówna — Łódź
9. S. **Gabryjela** Biedermanówna — Radomsko
10. S. **Natalja** Redlerówna — Warszawa ref.
11. S. **Irma** Borchertówna — Ryga
12. S. **Helena** Schmidtówna — Łęczyca

II. Siostry próbne:

13. S. **Amelja** Schollówna — Warszawa
14. S. **Jadwiga** Kunertówna — "
15. S. **Aleksandra** Jelonkówna — " ref.
16. S. **Emma** Bartelówna — "
17. S. **Wanda** Kundtówna — "
18. S. **Kamilla**-Klara Hellmanówna — "
19. S. **Zuzanna** Gliwkówna — Śląs. Ciesz.
20. S. **Leokadja** Antoniakówna — Warszawa
21. S. **Alma** Lindnerówna — Sobiesęki
22. S. **Klara** Reżanka — Warszawa
23. S. **Ruta**-Zuzanna Szwarcówna — Śląsk. Ciesz.
24. S. **Amalja** Waleschówna Uzdowo — pow. Działdow.
25. S. **Ela** Waleschówna — "
26. S. **Marta**-Marja Kaletówna — Śląsk Ciesz.

III. Kandydatki:

27. Erna Berghausenówna — Warszawa
28. Władysława Froszyńska — "
29. Ludwika Barwichówna — "
30. Elfrieda-Emma Zabelówna — Lipno
31. Irena-Helena Schneidrówna — Suwałki
32. Anna Schillerówna — Wiżajny
33. Otylja Nitschmanówna — Suwałki
34. Małgorzata Krygierówna — Radzymin
35. Joanna-Paulina Schlackówna — "
36. Paulina Müllerówna — Płatkownica
37. Magdalena-Marta Jenówna — Sobiesęki
38. Aurelja-Amalja Friedrichówna — "
39. Lidja Pansegrau'ówna — St. Iwiczna
40. Urszula-Marja Gitlinówna — Łódz
41. Olga Stockmanówna — Warszawa
42. Zofja-Helena Bauerówna — Łowicź

Sprawozdanie kasowe ROK 1924

Od 1-go lipca do końca roku.

№	PRZYCHÓD	Zł.	gr.	№	ROZCHÓD	Zł.	gr.
1	Pozostałość z I półr.	66	76	1	Na drobne wydatki siostrom i kandydatkom. . . . . , .	195	—
2	Ofiary	1,864	57	2	Umundurowanie sióstr i kandydatek .	590	61
3	Kwesty w kościele Warszawskim . .	994	—	3	Szkoła kandydatek	976	51
4	Wpłaty od instytucji zborowych za pracę sióstr i kandydatek	160	—	4	Urlopy i wyjazdy . . . . . . ,	466	66
	a. Dom Starców 80 zł. b. Schronisko kobiet 80 zł.			5	Różne	130	35
5	Różne	83	—				
	Razem . . .	3,168	33		Razem . . .	2,359	13
					Pozostałość na r. 1925 . . .	809	20

Lista ofiarodawców w roku 1924.

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.
1	Za pośrednictwem NNW. ks. biskupa J. Burschego	518	—
2	A. M.	25	—
3	Bibrych K.	15	—
4	Brejter	5	—
5	Dla uczczenie ś. p. Br. Patzerowej dzieci	222	20
6	Dla uczczenia ś. p. J. Reyszerowej córki	10	—
7	Dla uczczenia ś. p. A. Szklarowej Tyszkowska	3	—
8	Dla uczczenia ś. p. E. L. Tschrschnitzów — A. T.	5	—
9	Dla uczczenia ś. p. ks. Wentzla, siostry	10	—
10	Domke M.	10	—
11	Eberhardt A.	5	—
12	Goller E.	5	—
13	Hendler H.	5	—
14	Hintz O.	7	—
15	K. H.	20	—
	do przeniesienia	838	20

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.
	z przeniesienia	838	20
16	Lank A. i H.	25	—
17	Link M.	10	—
18	Loth E.	10	—
19	Łachniakowa A.	5	—
20	Mertz M.	5	—
21	N. N.	8	—
22	Norblin N. z Będzina	20	—
23	R. G.	25	—
24	Społeczność przy zborze Warsz w.	385	82
25	Społeczność młodz. żeńsk.	14	—
26	Szwedowa E.	55	55
27	Zebrane przez p. M. Englową	200	—
28	Zebrane przez p. Wł. Tuve	123	—
29	Zebrane przez p. F. Wasiańska	108	—
30	Wasiljew P.	5	—
	Razem	1,864	57

Oprócz tego, p. J. Ewert, prezes Kolegjum Kościelnego, 2 i pół tuz. prześcieradeł, sztukę płótna, 7 tuz ręczników, 5 tuz. chusteczek i serwetę, a p. dr. M. Goldberg—srebrną papierośnicę.

ROK 1925.

№	PRZYCHÓD	Zł.	gr.
1	Pozostało z r. 1925	809	20
2	Wpłata od instytucyj zborowych za pracę sióstr i kandydatek	11,060	—
	a. Szpital Ew. 8.770 zł.		
	b. Dom Starców 950 zł.		
	c. Schronisko Kobiet 540 zł.		
	d. Banioszka 480 zł.		
	e. Komitet Pań Opiek. 320 zł.		
3	Zapomoga Kolegjum Kościelnego zboru Warszawskiego	3,650	—
4	Kwesty w kościele Warszawskim	1 065	25
5	Ofiary	2.328	94
6	Pożyczka z Ew. Banku Spółdz.	1,000	—
	Razem	19,913	39

№	ROZCHÓD	Zł.	gr.
1	Na drobne wydatki siostrom i kandydatkom	3,627	—
2	Umundurowanie sióstr	8,410	99
3	Szkoła kandydatek	2,780	63
4	Urlopy i wyjazdy	1,744	75
5	Wydatki kuracyjne	950	68
6	Letnisko w Płatkownicy	485	39
7	Uroczystości w djakonacie	800	80
8	Wydawnictwa	418	20
9	Różne	504	90
	Razem	19,723	34
	Pozostałość na r. 1926	190	05

Lista ofiarodawców w roku 1925.

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.
1	A. P.	1	—
2	A. R.	3	—
3	Auerbach Caesar dr.	20	—
4	Baumowa M.	5	—
5	Cycling H.	5	—
6	Dla uczczenia ś. p. Z. E. Hintzówny rodzice	10	—
7	Dla uczczenia ś. p. K. Ginterowej córka	10	—
8	Dla uczczenia ś. p. E. Temlerowej Briggs Janowa	100	—
9	Dla uczczenia ś. p. ks. Wentzla siostry	10	—
10	Eberhart A.	7	—
11	Everth C. i E. v.	10	—
12	Fabryka przetw. chem. F. A. i G. Pal.	200	—
13	F. H.	2	—
14	Grad A.	5	—

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.
15	Haag P.	4	—
16	Hartfiel	15	—
17	Heczko z Cieszyna	5	—
18	Hintz F.	5	—
19	Hintz O.	10	—
20	Jako wyraz współczucia dla swej przełożonej J. Borsch z powodu straty jedynej siostry — personel i wychowanki Państw. Szkoły Przem.	50	—
21	J. R.	5	—
22	Kamińska N.	5	—
23	Kol. Aleksandrów-Łazy par. Węgrow.	8	61
24	Koło piątkowe pań przy Społeczności	1,135	50
25	Kobylińska Wilh.	5	—
26	Kuske z Pruszkowa	15	—
27	L. B.	5	—

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.	№	Nazwisko i imię	Zł.	gr.
28	L. S.	10	—	47	Petrusewiczowa E.	5	—
29	Langner G. z Kalisza	5	—	48	Reyszer H.	35	—
30	Link M	10	—	49	Ropp Z. v. der	20	—
31	Leinertowa M.	12	50	50	Schoeneich A. ks. senior	10	—
32	Łachniakowa A.	4	—	51	Strzemecka	10	—
33	M. P.	5	—	52	Smalc Kr.	3	—
34	Majhofer El.	5	—	53	Szymanowska	3	—
35	Majhofer L.	5	—	54	Tosio K.	5	—
36	Majlert H z Dziekanowa	5	—	55	W. J.	4	50
37	Mej Ł	2	—	56	Wiśniewska St.	5	—
38	N. N.	62	—	57	Wild	10	—
39	N N.	7	—	58	W. K.	10	—
40	N. S.	3	—	59	Za pośrednictwem Ks. M. Rügera . .	66	08
41	O. Z.	3	—	60	Zalewska M.	60	—
42	Pal Ferd. Ad.	50	—	61	Z. B.	10	—
43	Par. Nejdorf Nejbrów	25	50	62	Zebrane przez p. M. Englową . . .	115	—
44	Par. Nowy-Dwór	48	90				
45	Par. Suwalska.	21	35				
46	Par. Węgrowska	17	—		Razem . . .	2,328	91

Oprócz tego N. N. ofiarował srebrne pudełko do zapałek i 1 mk. niem.

ROK 1926.

od 1 stycznia do 1 lipca.

№	PRZYCHÓD	Zł.	gr.	№	ROZCHÓD	Zł.	gr.
1	Pozostałość z r. 1925	190	05	1	Na drobne wydatki dla sióstr i kandydatek	3,169	—
2	Od instytucji, Zboru i parafji	9,900	—	2	Uroczystości w Djakonacie	180	—
3	Zapomogi Kolegjum Kościelnego . .	900	—	3	Umundurowanie	4,327	75
4	Kwesty w kościele	303	07	4	Wydatki kuracyjne	874	95
5	Ofiary	1,336	50	5	Urlopy i wyjazdy	2,049	10
				6	Szkoła kandydatek	162	—
				7	Różne	629	45
				8	Saldo	1,237	37
	Razem . . .	12,629	62		Razem . . .	12,629	62

w Banku Ewangelickim . . . Zł. 778 gr. 25
„ Zwiastunie . . . . „ 459 „ 12
Razem . . Zł. 1,237 gr. 37
Pożyczka w Banku . . . . . „ 1,000 „ —
Faktyczna pozostałość . . . . Zł. 237 gr. 37

Lista ofiarodawców za czas od 1 stycznia do 1 lipca r. 1926.

№	Nazwisko i imię	Zł.	gr	№	Nazwisko i imię	Zł	gr.
1	Piątkowe Koło Pań przy Społeczności			10	N. N.	25	—
2	Bibrych Karol.	307	50	11	P. Dębska	2	—
3	Dla uczczenia ś. p. Józefiny Reyszerowej składają córki	2	—	12	K. i E v. Evert	10	—
				13	P. Baumgart	2	—
4	P. Mrozowska	10		14	Dla uczczenia ś. p. Scholtze, składają b. uczennice szwalni	100	—
5	Dla uczczenia ś. p. Gustawa Lotha .	5	—				
6	J. R.	25	—	15	P. Emil Gerlach	500	—
7	Z. R.	5	—		(oraz 500 zł. wpłac. do kasy szpitalnej)		
8	Fabryka przetworów chemicznych F. A. i G. Pahl	10	—	16	P. Janowa Wernerowa	200	—
9	Reyszer Helena	100	—		Razem . . .	1,336	50
		10	—				

Wszystkim ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać".

Prośba zarządu „Tabity".

Ofiary na djakonat prosimy wpłacać do „Zwiastuna" lub do Banku Ewangelickiego. D'a zamiejscrwych najwygodniej na Konto czekowe w P. K. O „Zwiastun Ewangeli zny' Nr. 2700.

Redaktor odpowiedzialny Ks. MIECZYSŁAW RÜGER

Sp. Akc. Wyd.-Druk. „Praca" Fr. Bogucki, Kredytowa 2-4. Tel. 60-70.